

I. PRZEGLĄD SYTUACJI STRATEGICZNEJ – ASPEKTY GLOBALNE I REGIONALNE

„Zachód, który dominował przez pięć wieków, nie ma już monopolu na władzę i bogactwo. Natomiast w dalszym ciągu po obu stronach Atlantyku pokutuje myślenie, że Amerykanie dominują w gospodarce, finansach i zbrojeniach, a Europejczycy żyją w przekonaniu o swojej wyższości w kulturze i obronie praw człowieka. Zachód jest nadal ważny, ale skończyła się jego dominacja. Obama to rozumie, choć Amerykanie jeszcze nie. To człowiek wyjątkowo inteligentny, mający niewiarygodną świadomość zachodzących zmian. Sądzę, że to, co Obama zdefiniował jako politykę zachodnią w świecie pozbawionym dominacji, jest równie doniosłe jak założenia polityki Trumana po wojnie. Obama ma prawdziwą wizję tego, czym powinien być Zachód w spolaryzowanym świecie”¹. Te słowa Huberta Vedrine’a, jednego z najbardziej przenikliwych europejskich ministrów spraw zagranicznych ostatnich dekad, dobrze oddają sytuację, w której znalazł się świat i sam Zachód. Zachód już „nie rządzi”, ale też świat jest pozbawiony przywództwa. Reszta świata ma świadomość zmiernych dominacji Zachodu, natomiast politycy zachodni, zwłaszcza amerykańscy, jeszcze nie w pełni.

Być może najlepszą ilustracją tej nowej sytuacji jest poziom zadłużenia państw. Największy poziom zadłużenia w stosunku do PKB mają Stany Zjednoczone i wiele innych państw zachodnich. Niektóre z nich znalazły się na granicy niewypłacalności i konieczne było organizowanie finansowych operacji ratunkowych, aby uniknęły bankructwa, jak jeszcze kilkanaście lat temu Meksyk czy Argentyna. Jak wskazuje słynny ekspert od spraw polityki pieniężnej John B. Taylor, poziom zadłużenia wielu państw zachodnich i Japonii jest podobny do tego, jaki był skutkiem II wojny światowej. Jednocześnie kraje rozwijające się, w tym *emerging economies*, utrzymały niski poziom zadłużenia w stosunku do PKB lub go obniżyły². Pokazuje to skalę niefrasobliwości rządów i prywatnego sektora finansowego, która brała się po części z tego, że do tej pory kraje zachodnie dzięki swej dominującej pozycji mogły na innych przetrzucać koszty swego dobrobytu (nawet jeśli tylko przez utrzymy-

¹ H. Vedrine, „Skończyła się dominacja Zachodu”, *Gazeta Wyborcza* (dalej: *GW*) z 9 lipca 2010 r. (wywiad przeprowadziła A. Napiórkowska); zob. także R. Kuźniar (red.), *Kryzys 2008 a międzynarodowa pozycja Zachodu*, Wydawnictwo Naukowe „Scholar”, Warszawa 2011.

² J.B. Taylor, „Rządowa *mission impossible*”, *GW* z 28 czerwca 2010 r.

wanie odpowiednich *terms of trade*, systemów walutowych lub obniżek taryf w ramach WTO).

To wszystko będzie mieć zapewne wpływ na procesy globalizacji, lekko je spowalniając i modyfikując, zwłaszcza w ich wcześniejszej wersji jako westernizacji. Zanim jednak dotychczasowa treść globalizacji ulegnie zmianie pod wpływem wzrostu potęgi Azji, jej wcześniejsza postać przyniosła owoce w postaci „arabskiej wiosny ludów”. Bez wątpienia globalizacja z jej możliwościami w sferze otwartego komunikowania, przepływem wzorców życia społecznego, podnoszeniem aspiracji społecznych, a nawet bezprecedensowym wzmożeniem ruchu turystycznego, właśnie do Egiptu i Tunezji, pobudziła pozostające w autokratycznym letargu społeczeństwa świata arabskiego, zwłaszcza ludzi młodych, najbardziej podatnych na wizję lepszego życia i najsprawniej korzystających z nowoczesnych technologii komunikowania (Internet i portale społecznościowe) umożliwiającących organizowanie w świadome swych dążeń i potrafiące je artykułować grupy społeczne.

AMERYKA I POSTAMERYKAŃSKI ŚWIAT

Znany amerykański politolog prof. Michael Mandelbaum zdefiniował rolę Ameryki w najbliższej przyszłości jako „oszczędne supermocarstwo”. Te oszczędności biorą się jego zdaniem ze strategicznej rozrzutności oraz błędów ekonomicznych ostatniej dekady. O ile bowiem w pierwszej dekadzie naszego stulecia cały świat narzekał na amerykańską politykę i tłumaczył ją nadmiarem potęgi USA, o tyle w kolejnej dekadzie mogą się ujawnić niszczące konsekwencje niedostatku Ameryki, która tym razem będzie mieć „zbyt mało siły”. „Czymś gorszym od Ameryki, która jest zbyt mocna, o czym świat się wkrótce przekona, jest Ameryka, która jest zbyt słaba”, konkluduje Mandelbaum³. Czy tak się stanie, wkrótce się o tym wszyscy przekonamy. Nie jest odkrywcze stwierdzenie, że zmiana mechanizmu stabilności międzynarodowej stanowi zawsze niewiadomą i niesie początkowo ze sobą jakieś niespodzianki czy nawet kryzysy. Tak będzie musiało być i tym razem, choć wiele będzie zależeć właśnie od samych Stanów Zjednoczonych, w jakiej mierze będą sprzyjać nieuchronnemu przecież wykształcaniu się nowej formuły *global governance*, a w jakiej będą do końca bronić swej uprzywilejowanej pozycji i „posuną się” dopiero w ostatniej chwili pod presją nowych potęg w sytuacji jakiegoś napięcia czy niestabilności.

Świadomość bardziej oszczędnego angażowania się Ameryki w problemy międzynarodowe w największym stopniu wykazywał sam prezydent Barack Obama. Świadczy o tym podpisana przezeń 27 maja 2010 r. i bogato inkrustowana jego cytata **nowa Narodowa Strategia Bezpieczeństwa USA**. Ten dokument w wielu istotnych miejscach oznacza radykalne odejście od dwóch strategii administracji G.W. Busha (z 2002 i 2006 r.). Dokument Obamy jest manifestacją świadomości ograniczeń potęgi USA oraz konieczności współpracy z innymi mocarstwami, państwami i instytucjami wielostronnymi w zapewnianiu bezpieczeństwa Ameryki, jej

³ M. Mandelbaum, *The Frugal Superpower. America's Global Leadership in a Cash-Strapped Era*, Public Affairs, New York 2010, s. 194.

sojuszników oraz międzynarodowego w ogóle. Ameryka Obamy porzuca doktrynę uderzeń wyprzedzających (*pre-emption*), a prawo do użycia siły zastrzega sobie dopiero po wyczerpaniu wszystkich innych środków rozwiązania danego problemu (eliminacji zagrożenia) i w takich przypadkach będzie ona używana zgodnie z międzynarodowymi standardami prawnymi. Walka z terroryzmem przestała być zasadą organizującą amerykańską politykę bezpieczeństwa. Zagrożenia nie są geopolityczne, lecz asymetryczne oraz związane z energią i klimatem. W przeciwdziałaniu im większą rolę przypisano dyplomacji i przyznano, że „bezpieczeństwo zaczyna się w domu”, czyli od siły amerykańskiej gospodarki i zdrowia jej systemu społecznego. Niezwykle ważne jest stwierdzenie, że bezpieczeństwo Ameryce można zapewnić tylko w ramach „sprawiedliwego i zrównoważonego porządku międzynarodowego”, w którego budowie zamierza ona uczestniczyć. Jak podkreślali komentatorzy, w odróżnieniu od strategii G.W. Busha strategia Obamy prezentuje wilsonowską, optymistyczną wizję świata i zakłada pozytywną rolę Ameryki; potwierdza wolę światowego przywództwa Stanów Zjednoczonych. Ameryka Obamy nie zamierza także rezygnować z prymatu militarnego w świecie, co upodabnia ten dokument do poprzednich. Warunkiem tego jest rewitalizacja gospodarki USA oraz promocja jej wartości (bez użycia siły). W dokumencie deklaruje się czujność wobec rosnącego potencjału Chin oraz ich intencji na scenie międzynarodowej. Rzecz charakterystyczna, nowa strategia, globalistyczna, wszechstronna i wielokierunkowa, nie uprzywilejowuje stosunków ani z NATO, ani stosunków z Europą w nowym podejściu do bezpieczeństwa⁴.

Uwiarygodnieniem nowej doktryny bezpieczeństwa USA stały się **zmiany w strategii nuklearnej supermocarstwa**, zatwierdzone przez prezydenta Obamę na początku kwietnia 2010 r. Doszło mianowicie do ograniczenia sytuacji, w których Stany Zjednoczone mogłyby użyć broni nuklearnej. USA zadeklarowały, że nie będą używać ani grozić użyciem takiej broni przeciwko krajom nienuklearnym, stronom NPT, które wykonują swoje zobowiązania wynikające z układu. W *Nuclear Posture Review* dopuszcza się „użycie broni jądrowej jedynie w ekstremalnych warunkach, w celu obrony żywotnych interesów Ameryki lub interesów jej sojuszników czy partnerów”. Waszyngton wysłał tym samym sygnał, że dąży do zmniejszenia potencjału tego rodzaju broni i jej roli we własnej strategii bezpieczeństwa i do tego samego zachęca inne państwa nuklearne. Intencją Ameryki Baracka Obamy jest przekonanie innych, że należy odchodzić od broni nuklearnej jako nieadekwatnej w nowym środowisku bezpieczeństwa. Dlatego w nowej strategii nuklearnej zapowiada się rezygnację z rozwoju nowych rodzajów tej broni. Z takiego punktu widzenia mamy do czynienia z jakościowym zwrotem w tej dziedzinie, największą zmianą od czasów zimnej wojny. Powodzenie tego nowego podejścia będzie zależeć od wytrzymania presji wewnętrznej (ze strony kompleksu wojskowo-przemysłowego i jego przedstawicieli w administracji) oraz jego akceptacji przez inne mocarstwa. Materiałnym uwiarygodnieniem nowego podejścia do broni jądrowej ze strony USA było zwołanie „szczytu bezpieczeństwa nuklearnego” do Waszyngtonu na początek

⁴ D.E. Sanger, P. Baker, „New security strategy focuses on managing threats”, *The New York Times* z 27 maja 2010 r.; J. Traub, „Świat według Baracka Obamy”, *GW* z 19–20 czerwca 2010 r.

kwietnia z udziałem przywódców 47 państw. Przedmiot obrad stanowiło wzmocnienie bezpieczeństwa nuklearnego przez uściślenie kontroli nad wszelkimi zasobami tej broni oraz materiałów i technologii służących jej produkcji, w tym także uniemożliwienie ich proliferacji. Ponadto również na początku kwietnia doszło do podpisania układu START III z Rosją. Nowy układ ogranicza liczbę głowic nuklearnych po każdej ze stron do ok. 1500–1600, redukuje środki przenoszenia, ustanawia rygorystyczny system kontroli oraz zapowiada, że po jego ratyfikacji strony przystąpią do rozmów o ograniczeniu, a może całkowitej eliminacji ich zasobów taktycznej broni nuklearnej (w Europie). Elementem spornym pozostanie zapis wskazujący na związek broni ofensywnej z defensywną (raket i systemów antyrakietowych). Gdyby projektowany przez USA system antyrakietowy miał w przyszłości dotyczyć broni strategicznej, dla Moskwy mogłoby to oznaczać naruszenie układu i zwalniać ją z jego przestrzegania⁵.

Sygnałem w tym samym kierunku były zapowiedzi o ograniczeniu wydatków na cele wojskowe. Wprawdzie budżet Pentagonu w 2011 r. miał zostać utrzymany z uwagi na wojnę w Afganistanie i silną obecność wojskową USA w Iraku, lecz zmniejszanie wydatków zamierzano zacząć natychmiast, od ograniczania liczby dowództw, etatów wojskowych najwyższej rangi, a zwłaszcza przyssanych do budżetu federalnego prywatnych kontrahentów zainteresowanych wielkimi wydatkami i dostawami. Tymczasem realne potrzeby obronne wymagały sprzętu nie tyle najdroższego, ile dostosowanego do przeciwdziałania zagrożeniom asymetrycznym i ich zwalczania. Główny opór w stosunku do tych zamierzeń będą stawiać producenci najnowszego uzbrojenia i przedstawiciele ich interesów – republikańscy kongresmani. Jak pisano w amerykańskiej prasie, „prezydenci, a zwłaszcza kandydaci na prezydentów, rutynowo obiecują reformę procedur dostaw do armii, a następnie producenci, ich lobbyści oraz odpowiednie służby wojskowe robią wszystko, aby do tego nie doszło”. Stąd i teraz przed prezydentem Obamą staje wyzwanie, aby zmniejszyć budżet i ograniczyć wpływ sił kapitału i rynku na jego wielkość i strukturę. Paul Krugman zachęcał Obamę, aby poszedł śladami Franklina Delano Roosevelta, który w znanym przemówieniu w 1936 r. mówił o „**starych wrogach pokoju – biznesie, monopolu finansowym, spekulacjach, lekkomyślnym sektorze bankowym, klasowych antagonizmach, zarabiających na wojnie**”. Podobnie jak Roosevelt powinien śmiało odpowiadać: „Ich nienawiść przynosi mi zaszczyt”. Thomas Friedman wskazywał z kolei na złe wykorzystanie pieniędzy amerykańskiego podatnika pochłanianych przez prywatne firmy, które realizują różne projekty za granicą, od paramilitarnych po tak zwane budowanie instytucji państwowych. „Budujemy w Waszyngtonie kompleks kontraktorsko-przemysłowy, który ma ekonomiczny interes w ekspedycjach zagranicznych”⁶.

⁵ H.R. Clinton, „Strategia jądrowa Ameryki na XXI wiek”, *GW* z 8 kwietnia 2010 r.; P.D. Feaver, „Obama’s nuclear modesty”, *International Herald Tribune* (dalej: *IHT*) z 8 kwietnia 2010 r.; D.E. Sanger, „Obama limits when U.S. would use nuclear arms”, *IHT* z 5 kwietnia 2010 r.; D.E. Sanger, M. Landler, „Obama calls for joint action to safeguard nuclear stocks”, *IHT* z 14 kwietnia 2010 r.; M. Bosacki, „Atomowy układ uderzy w tarczę?”, *GW* z 26 marca 2010 r.

⁶ P. Krugman, „The old enemies”, *IHT* z 23 maja 2010 r.; T. Friedman, „The best allies money can buy”, *IHT* z 3 listopada 2009 r. (Friedman odwoływał się przy tym do pracy Allison Stanger, *One Nation Under*

O ile w sprawach bezpieczeństwa prezydentowi Obamie udało się zapoczątkować pewne zmiany i osiągnąć pierwsze sukcesy, o tyle jeśli chodzi o ogólną sytuację polityczną i gospodarczą, obóz demokratyczny znalazł się w defensywie. Listopadowe zwycięstwo twardej prawicy w wyborach do Kongresu (odzyskanie większości w Izbie Reprezentantów) nie tylko utrudni demokratom rządzenie, ale wręcz uniemożliwi kontynuację zapowiedzianych reform, a nawet grozi odwróceniem już wprowadzonych (reforma opieki zdrowotnej). Już wywalczona z trudem akceptacja dla START III została okupiona poważną ceną w postaci zgody na przedłużenie wprowadzonych w czasach G.W. Busha głębokich cięć podatków dla najbogatszych. Świetny ekonomista Paul Krugman pisze o zadziwiającym, po zapaści 2008–2010, triumfie fałszywej idei rynkowego fundamentalizmu i trafnie zwraca uwagę na zasadniczy paradoks: w latach 90. podatki zostały podniesione, a mimo to Ameryka przeżywała okres bezprecedensowej prosperity, pod rządami Busha zostały radykalnie zredukowane, a rachityczny wzrost zakończył się finansową katastrofą i ekonomicznym kryzysem. Zwyciężając ekonomiczne zombi, pisał zdumiony. Rezygnując z dochodów pochodzących z wydatków, Ameryka nie znajdzie pieniędzy na modernizację „sypiącej się” infrastruktury czy na dobre szkolnictwo dla wszystkich⁷. Co więcej, dramatycznie pogłębiły się społeczne nierówności, które upodabniają pod tym względem Stany Zjednoczone do latynoamerykańskiej republiki bananowej. Cztery piąte wzrostu amerykańskich dochodów w latach 1980–2005 trafiło na konta jednego procenta najbogatszych Amerykanów (!). Jak pisał Nicholas D. Kristof, „osiągnęliśmy taki punkt, w którym nierówność stała się ekonomicznie niezdrowa i moralnie odrażająca”⁸. W niemałym stopniu stało się tak dlatego, że zdaniem głośnego od pewnego czasu ekonomisty Nouriel Roubiniego „**finansowy sektor z Wall Street stopniowo zawładnął systemem politycznym**”⁹. Analityk gospodarczy Bruce Stokes twierdzi, że w „amerykańskim systemie politycznym korupcja jest zinstytucjonalizowana”. Kandydaci na stanowiska polityczne są zakładnikami różnych grup interesów, a otrzymawszy od nich pieniądze, bez których nie można być wybranym ponownie, muszą potem odpowiednio głosować¹⁰. Tym bardziej zadziwiać musi wyjątkowa klęska demokratów w wyborach do Kongresu. Program „zmiany” głoszony przez Baracka Obamę był zapowiedzią stopniowego uzdrawiania Ameryki. Od listopada 2010 r. przestał istnieć. Od tej pory celem Obamy będzie ponowne zwycięstwo, nie reformy. Republikańscy zwycięzcy zapowiedzieli, że ich głównym celem w Kongresie będzie uniemożli-

Contract: The Outsourcing of American Power and the Future of Foreign Policy); M. Janik, „Pentagon zaczyna oszczędzać”, *Dziennik – Gazeta Prawna (DGP)* z 11 maja 2010 r.; T. Shanker, „Pentagon plans steps to reduce budget and jobs”, *IHT* z 9 sierpnia 2010 r.

⁷ P. Krugman, „When zombies win”, *IHT* z 19 grudnia 2010 r. Krugman pisał też, że **kampania na rzecz utrzymania niskich podatków na rzecz najbogatszych posiadała wspólny znak firmowy z kampanią na rzecz wojny w Iraku: podstęp i oszustwo (deception and dishonesty)**, *IHT* z 22 sierpnia 2010 r.

⁸ N.D. Kristof, „Our banana republic”, *IHT* z 6 listopada 2010 r.

⁹ F. Rich, „What happened to change we can believe in?”, *IHT* z 23 października 2010 r.

¹⁰ B. Stokes, „Paraliż w Waszyngtonie”, *GW* z 22–23 maja 2010 r. (wywiad przeprowadził A. Leszczyński).

wienie reelekcji Obamy¹¹. Wewnętrzna sytuacja polityczna w Ameryce charakteryzowała się w dalszym ciągu występowaniem silnego antagonizmu noszącego znamiona konfliktu religijnego. Prezydent i jego polityka byli nadal obiektem ostrego ataku ze strony całego obozu republikańskiego, przy czym ton nadawało skrajne skrzydło w postaci Tea Party („frontu odmowy”) dowodzonej przez byłą kandydatkę na wiceprezydenta Sarah Palin. Klimat nienawiści wzniecany przez te środowiska stał się podłożem zamachu w Tucson (Arizona) na demokratyczną kongresmankę Gabrielle Giffords, która została ciężko ranna (zginęło sześć osób), na początku stycznia 2011 r. Empatyczną i rozważną mową w reakcji na zamach prezydent Obama wykazał się cechami męża stanu i zyskał szacunek wielu Amerykanów, którzy na niego nie głosowali¹².

Nieco lepiej niż na wewnętrznym podwórku administracji Obamy wiodło się w sferze polityki zagranicznej, która była rozsądna i zrównoważona, choć trudno wskazać na jakieś znaczące sukcesy. Brent Scowcroft, doradca Busha seniora, pozytywnie ocenił bilans pierwszych kilkunastu miesięcy Obamy w tym zakresie. Dotyczy to zwłaszcza trzech wielkich zadań, w obliczu których stanął nowy prezydent: 1) zmiana nastawienia świata do USA, 2) dostosowanie Ameryki do procesów globalizacji (wszechstronnej współzależności i niemożności wydawania rozkazów innym państwom, jak dotąd sądziło wielu polityków amerykańskich), 3) odpowiedź na konkretne, palące problemy, np. konflikt bliskowschodni czy program nuklearny Iranu, oraz wciągnięcie Rosji w bliższą współpracę z Zachodem¹³.

Najmniejszymi sukcesami administracja Obamy mogła pochwalić się na Bliskim Wschodzie. Wynikało to ze zdecydowanie proizraelskiej polityki Waszyngtonu. Wprawdzie początkowo Barack Obama zapowiadał bardziej zrównoważone podejście do konfliktu izraelsko-palestyńskiego, ale nie znalazło to potwierdzenia w realnej polityce. We wrześniu 2010 r. prezydent Obama zaangażował się w ożywienie negocjacji bliskowschodnich, jednak nie potrafił przekonać premiera Netanjahu do wstrzymania budowy osiedli izraelskich na ziemiach okupowanych i rozmowy szybko stanęły w martwym punkcie. Obserwatorzy byli zaskoczeni nadzwyczaj przyjaznym podjęciem Netanjahu w Waszyngtonie pomimo jego nieprzejednanego stosunku do Palestyńczyków i takich działań potępianych przez społeczność międzynarodową jak atak komandosów izraelskich na wodach międzynarodowych na tak zwaną flotyllę wolności, statki usiłujące przez izraelski kordon dostarczyć pomoc humanitarną dla mieszkańców Gazy. W akcji zginęło dziewięciu uczestników wyprawy. Waszyngton nie zmieniał swej postawy nawet pomimo słów generała Davida Petraeusa, który twierdził, że interesy bezpieczeństwa USA w regionie są narażone na ataki właśnie ze względu na politykę faworyzowania Izraela. W tej sytuacji pomimo retoryczno-dyplomatycznych ofensyw

¹¹ M. Zawadzki, „Ameryka w prawo”, *GW* z 4 listopada 2010 r.; idem, „I już po zmianie?”, *GW* z 6–7 listopada 2010 r.

¹² P. Krugman, „Climate of hate”, *IHT* z 8 stycznia 2011 r.

¹³ B. Scowcroft, „Ameryka bez fajerwerków”, *GW* z 3–5 kwietnia 2010 r. (rozmawiał M. Bosacki); M. Landler, „Clinton speech offers policy overview” (chodzi o wystąpienie H. Clinton w Council on Foreign Relations).

Waszyngtonu (podróże H. Clinton) nie ma przełomu w stosunkach między Ameryką a światem arabskim¹⁴. W podejściu do Iranu Waszyngton kontynuuje poprzednią politykę nacisków, która składa się z kombinacji sankcji i wielostronnych konsultacji dyplomatycznych z udziałem tego państwa, jednak odmawia bezpośrednich rozmów z Teheranem bez warunków wstępnych. Jedyną różnicą w stosunku do podejścia administracji G.W. Busha jest porzucenie języka gróźb, czyli opcji bombardowania Iranu. Uszczerbek na wizerunku Ameryki na Bliskim Wschodzie przyniosła publikacja przez portal WikiLeaks materiałów pokazujących łatwość użycia broni przez siły amerykańskie w wojnie w Iraku, co prowadziło do dużych strat wśród niewinnej ludności cywilnej. Te materiały ujawniły także wiedzę Amerykanów o tym, że powołane przez nich irackie siły bezpieczeństwa zachowują się tak samo jak służby Husajna, co jednak nie wywołało żadnej reakcji¹⁵.

Świadomość ponurego nonsensu tej wojny potwierdziło zaskakujące dla wielu, choć nie odkrywcze zeznanie Tony'ego Blaira, który przyznał, że w agresji na Irak bardziej niż o bezpośrednie bezpieczeństwo chodziło o symbolikę, czyli o wysłanie „całkowicie czystego przekazu do świata” (*a message of total clarity to the world*) po 11 września 2001 r., iż kwestionowanie woli społeczności międzynarodowej nie będzie dłużej tolerowane. Przez wolę społeczności międzynarodowej należy tu rozumieć wolę Anglosasów, bo przecież nikt inny nie dążył do ataku na słaby i niezagrażający światu Irak. Deklaracja Blaira jest pierwszym oficjalnym przyznaniem, że Anglosasi mieli świadomość, iż Irak Saddama nie stwarzał zagrożenia oraz że w istocie chodziło o uzyskanie efektu demonstracji, który miał skłonić resztę świata do akceptacji hegemonii USA¹⁶.

Europa pozostaje przedmiotem „łagodnego zaniedbania” (*benign neglect*) ze strony USA, twierdzi Camille Grand, znany analityk i prezes Fundacji Studiów Strategicznych w Paryżu. Barack Obama jest „pierwszym postatlantyckim prezydentem USA, który przez swój temperament, wychowanie i okoliczności jest zmuszony koncentrować się na innych regionach”, dodaje Roger Cohen. Europa nie jest priorytetem polityki bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Prezydent Obama w dalszym ciągu starał się nie tracić czasu na Europę. Jak się zauważa, nawet demonstrowana przez prezydenta Francji Sarkozy'ego miłość do Ameryki nie spotkała się z jakimś wyrazem wzajemności. Nowy brytyjski premier, choć konserwatysta, David Cameron, nawet nie próbuje naśladować pod tym względem Tony'ego Blaira (depesze upublicznione przez WikiLeaks ujawniły całkiem instrumentalne podejście Waszyngtonu do Londynu nawet w epoce „specjalnego partnerstwa” dwóch panów B.). Niemcy Angeli Merkel utrzymują poprawne stosunki z USA i to im wystarcza. Można powiedzieć, że *benign neglect* odczuwa się z obu stron. Może z wyjątkiem niektórych państw czy polityków z Europy Środkowej. Europa zda-

¹⁴ M. Urzędowska, „Świat wściekły na Izrael”, *GW* z 1 czerwca 2010 r.; MK, „Żydzi z Europy krytykują Izrael”, *GW* z 5 maja 2010 r.; A. Talaga, „Izrael – niezdrowa miłość USA”, *DGP* z 9–11 lipca 2010 r.; M. Zawadzki, „Barack Obama rusza na hód”, *GW* z 2 września 2010 r.; „Clinton seeks stronger ties with Arab allies”, *IHT* z 8 stycznia 2011 r.

¹⁵ S. Tavernise, A.W. Lehren, „A grim portrait of civilian heath in Iraq”, *IHT* z 22 października 2010 r.; „Wikileaks: Iraq war logs ‘reveal truth about conflict’”, BBC News z 22 października 2010 r.

¹⁶ M. Dowd, „The poodle speaks”, *IHT* z 4 września 2010 r.

je się Obamie potrzebna o tyle, o ile jest gotowa wysłać wojska do Afganistanu. Książka Boba Woodwarda *Wojny Obamy* pokazała jednak, jak bardzo amerykański prezydent ignorował sojuszników z NATO w przygotowywaniu (2009) nowej strategii wojny afgańskiej; mieli jedynie dostarczyć wojska, którego brakowało Amerykanom. Zaniedbywanie związków transatlantycznych było przedmiotem krytyki ze strony republikanów, polityków i ekspertów, ale przecież w okresie ich rządów Europa także wydawała się im potrzebna tylko do prowadzenia wojen czy innych operacji powstrzymywania (Rosji lub Iranu)¹⁷. Niewątpliwym sukcesem Obamy odniósł na szczycie NATO w Lizbonie. Prezydent USA był świetnie przygotowany i okazał się naturalnym i niekwestionowanym przywódcą tej grupy państw.

Wobec Azji, a właściwie Chin, Ameryka zdawała się stosować nową wersję geopolitycznego paradygmatu Nicholasa Spykmana, czyli sojusznicznych związków z ważnymi nadbrzeżnymi krajami Azji w celu powstrzymywania tym razem Chin. Tak przynajmniej twierdzi znakomity historyk i teoretyk z dziedziny studiów strategicznych Robert D. Kaplan. Kluczowymi krajami nowej wersji „rimlandu” miałyby być Indie, Indonezja, Korea Południowa i Japonia. Każdy z tych krajów ma swoje powody, aby obawiać się wzrostu chińskiej potęgi, i żaden z nich nie ma przeszkód, aby być sprzymierzeńcem USA. Nawet islam w Indonezji nie stanowi przeszkody, jest to bowiem łagodniejsza forma islamu, choć i tam zaczynają docierać jego bardziej radykalne odmiany. Jak się okazuje, to dla uspokojenia Indii Amerykanie mogą chcieć dłużej pozostać w Afganistanie i to dla dobrych stosunków z Indonezją starają się o poprawę swego wizerunku w świecie islamu. Tradycja współpracy w sferze bezpieczeństwa z Japonią i Koreą Południową jest już długa. Taki plan zakładałby rozwój sił morskich Ameryki. Strategia morska nie potrzebuje zbyt wielkich sił lądowych. Siły morskie to demonstracja obecności i wolność mórza – bezpieczeństwo szlaków handlu i zaopatrzenia¹⁸. Aktywność dyplomatyczna samego Obamy oraz jego administracji w 2010 r. potwierdziła nową *grand strategy* Ameryki wobec Eurazji. Najbardziej spektakularnym przejawem azjatyckiej geostrategii prezydenta Obamy była jego listopadowa (2010) wizyta w Indiach, w ramach dziesięciodniowego tournée po krajach „rimlandu”. Obie strony dążyły do nadania stosunkom dwustronnym specjalnego charakteru („partnerstwa”) pomimo pewnych problemów i obaw, aby zbyt ostentacyjne zbliżenie nie wywołało jakiegoś geopolitycznego przeciwdziałania. Stroną bardziej domagającą się poważniejszego zaangażowania w te stosunki i w kształtowanie sytuacji geopolitycznej w regionie były Indie, których znani eksperci głosili, że wzrost autorytarnych Chin wymaga specjalnego partnerstwa obu wielkich demokracji, aby ochronić porządek międzynarodowy oparty na demokratycznych zasadach. Owocna wizyta prezydenta Obamy niewątpliwie zbliżyła do siebie te dwa kraje, ale nie w stopniu, który by uzasadniał określenie „strategicznego partnerstwa”¹⁹. Stabilizowanie kruchej azjatyckiej geo-

¹⁷ D.J. Kramer, „Obama traci Europę”, *GW* z 19–20 czerwca 2010 r. (rozmawiał A. Leszczyński); R. Cohen, „Europe and benign neglect”, *IHT* z 6 września 2010 r.; B. Woodward, *Obama's Wars*, Simon & Schuster, New York 2010.

¹⁸ R.D. Kaplan, „Obama takes Asia by sea”, *IHT* z 11 listopada 2010 r.

¹⁹ J. Yardley, „America and India: The almost-special relationship”, *IHT* z 6 listopada 2010 r.

polityki musi być rozłożone w czasie i odbywać się na wielu kierunkach równocześnie.

Rok 2010 można uznać za **rok intensywnego straszenia Chinami**. Odbywało się ono głównie na Zachodzie i najbardziej odczuwalne okazało się w stosunkach amerykańsko-chińskich. To od Stanów Zjednoczonych oczekiwano wzięcia na siebie ciężaru powstrzymywania Chin, czego w jakimś stopniu rzeczywiście się one podjęły. Wizja Chin jako wschodzącego mocarstwa rzucającego wyzwanie globalnemu przywództwu Ameryki była cały czas obecna w zachodnich mediach, a w ostatnich kilkunastu miesiącach, jak się zdawało, znalazła potwierdzenie w osiągnięciu przez Chiny w połowie 2010 r. pozycji numer dwa w gospodarce światowej (wyprzedzenie Japonii) oraz kilku znaczących sukcesach w sferze produkcji uzbrojenia. Liczące około 1,3 mld ludności Chiny oczywiście nadal wydawały na zbrojenia około dziesięciu razy mniej niż liczące nieco ponad 300 mln ludności USA, ale większą niż liczby rolę odgrywały tutaj wyobrażenia i interpretacje. Szczególnie niepokojące, a nawet prowokujące było ujawnienie przez chińską armię pierwszego lotu samolotu J-20 typu *stealth* (niewykrywalnego przez radary)²⁰ w przededniu wizyty w Pekinie szefa Pentagonu Boba Gatesa, 11 stycznia 2011 r. Chińczycy dokonali także postępu, jeśli chodzi o rozwój technologii raketowej, która mogłaby w przyszłości trzymać marynarkę USA z dala od chińskiego wybrzeża. Nie zagrozi ona dominacji amerykańskiej na Pacyfiku, ale może utrudnić Amerykanom kontrolę nad Tajwanem. W 2010 r. pojawił się cały szereg konkretnych, prestiżowych i materialnych problemów. Według niektórych ocen miały one sprowadzić stosunki między Waszyngtonem a Pekinem do poziomu z początku dekady (napięcie z powodu kolizji chińskiego myśliwca z samolotem szpiegowskim USA). Problemem prestiżowym było przyznanie pokojowej Nagrody Nobla chińskiemu obrońcy praw człowieka Liu Xiaobo. Medialna kampania wokół tego wydarzenia na Zachodzie mocno zabolowała czuły na punkcie swego wizerunku i suwerenności Pekin. Amerykanie nie ukrywali zaś niezadowolenia z powodu tolerowania przez Chiny ekscesów KRLD. Gdy Waszyngton wyraził zgodę na dostawy do Tajwanu wielkich ilości broni przez firmy amerykańskie (na sumę ponad 5 mld USD), doszło do zawieszenia przez Pekin wszelkich kontaktów z USA w sferze wojskowej. Chińczyków niepokoiła strategia powstrzymywania rozwijana całkiem ostentacyjnie wokół ich państwa przez USA. Dochodziły do tego różnice w sprawach gospodarczych: znowu gigantyczna nadwyżka Chin w obrotach handlowych z USA (ponad 200 mld USD w 2010 r.) i utrzymywanie zbyt niskiego zdaniem państw zachodnich kursu juana (choć Pekin podjął w tym względzie pewne próby jego uelastycznienia). Wielu obserwatorów zauważało, że polityka zagraniczna Chin stała się bardziej asertywna nie tylko w retoryce, lecz także w pewnych praktycznych poczynaniach (w stosunkach z Japonią czy w sporze o wyspy na Morzu Południowochińskim). Pekin, jak niektórzy spostrzegli, zbyt szybko uwierzył w swoje możliwości, zbyt szybko uwierzył w schyłek potęgi USA. Na początku 2011 r. Hillary Clinton nie zawahała się

²⁰ Pojawiło się nawet przypuszczenie, że część technologii potrzebnej do wyprodukowania J-20 Chińczycy pozyskali dzięki przekazaniu im przez Serbów podobnej maszyny strąconej przez nich w czasie nalotów USA w 1999 r.

ostrzec Pekinu przed perspektywą nowej zimnej wojny, jeśli jego zachowania nie będą bardziej kooperatywne i przejrzyste. Łagodzeniu nieufności miała służyć trzydniowa wizyta Boba Gatesa tuż przed wizytą państwową chińskiego przywódcy Hu Jintao w USA w styczniu 2011 r. Przebiegająca z wielką pompą wizyta Hu odegrała taką rolę. Obie strony jasno wyraziły swoje niepokoje i troski i zaznaczyły różnice ocen: od praw człowieka (USA o Chinach) po nadzór nad rynkami kapitałowymi (Chiny o Ameryce). Jednocześnie zgodzono się co do potrzeby dialogu i współpracy. Hu Jintao starał się być koncyliacyjny i łagodzić amerykańską podejrzliwość, pod warunkiem wszelako respektowania przez Waszyngton „uzasadnionych interesów Chin”. Obiecał wywierać wpływ na zachowanie Korei Północnej, dalsze urealnianie kursu juana, a w celu poprawy bilansu handlowego USA zapowiedział wielki kontrakt – zakup 200 samolotów pasażerskich formy Boeing. Eksperci uważają, że ten rozejm ma kruche podstawy, ponieważ Amerykanie nie porzucą strategii powstrzymywania, a Chiny w miarę wzrostu będą „uzewnętrzniać” swój potencjał. Na podstawie tego, co widzieliśmy w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy, nie da się przesądzić, czy relacje USA–Chiny będą bliższe modelowi G-2 czy stosunkom USA–ZSRR z czasów konfrontacji Wschód–Zachód²¹.

Zupełnie niezły koniec roku w polityce zagranicznej USA (ratyfikacja START, szczyt NATO, przywoływanie Chin „do porządku”) został przesłonięty **megawyciekiem amerykańskich szyfrogów spowodowanym przez portal WikiLeaks**. Czegoś podobnego w historii dyplomacji rzeczywiście nie było, światło dzienne bowiem miało ujrzeć około 250 tys. depeš. Świadczyło to przede wszystkim o nieprawdopodobnej niefrasobliwości Departamentu Stanu, jeśli chodzi o zarządzanie zdobywaną i gromadzoną informacją niejawną²². Wyciek tych dokumentów stanowił niewątpliwą prestiżową porażkę dyplomacji USA, która chciała uchodzić za wzór ochrony informacji niejawnych (tego także domagała się od swych partnerów), oraz cios w zaufanie między USA a ich sojusznikami w różnych częściach świata. Światowe media i przedstawiciele Waszyngtonu początkowo reagowali histerycznie, wieszcząc jakieś megasensacje oraz możliwe nieszczęścia (śmierć niezliczonych istnień ludzkich; czytaj: informatorów służb dyplomatycznych USA), ale nic takiego się nie stało. Realna siła rażenia tego informacyjnego tsunami okazała się słabsza, niż zakładano. Informacje, które ujrzały światło dzienne, notabene za sprawą kilku największych zachodnich tytułów prasowych, a do których nikt o to jakoś nie miał pretensji, nie należały do najważniejszych i najściślej chronionych ani też nie wносиły nic istotnego w stosunku do już istniejącej wiedzy o relacjach między USA a wybranymi krajami czy o sytuacji w poszczególnych państwach lub regionach. Hipokryzja oskarżeń i zarzutów kierowanych pod adresem założyciela WikiLeaks Juliana Assange’a polegała na próbie ukrycia tego, co nieczyste w poli-

²¹ „Discord”, *The Economist* z 15 stycznia 2011 r.; J. Przybylski, „Wielki szczyt Obamy i Hu”, *Rzeczpospolita* (dalej: *Rz*) z 20 stycznia 2011 r.; M. Kruczkowska, „Czerwony dywan dla przywódcy Chin”, *GW* z 20 stycznia 2011 r.; J. Mackintosh, „History shows China slowdown due”, *Financial Times* z 24 stycznia 2011 r.; C. Lesnes, „A Washington, Hu Jintao et Barack Obama tentent de taire leurs griefs”, *Le Monde* z 21 stycznia 2011 r.

²² Dokumenty zostały skopiowane i przekazane do WikiLeaks przez młodego i niskiego rangą analytika odbywającego służbę w Iraku.

tyce mocarstw. Już wcześniej w ten sam sposób próbowano go odwieść od ujawnienia szczegółów działań militarnych USA w Iraku i Afganistanie, które pokazywały dosadnie bezsensowną śmierć po stronie ludności cywilnej. Dyplomatom i politykom zdarzało się niejednokrotnie ukrywać działania służące złej sprawie za pomocą haseł o ważnych interesach bezpieczeństwa czy dobru (np. pokoju), które może być osiągnięte tylko pod osłoną głębokiej tajemnicy. Wyciek WikiLeaks nie dotyczył jednak spraw będących w toku²³. Trudno zarazem przesądzić, czy działalność Juliana Assange'a można zakwalifikować jako samozwańczego Robin Hooda epoki Internetu karzącego możliwych za złe uczynki wobec słabych. Bardziej interesująca jest interpretacja jego aktywności jako przedstawiciela „wnuków maja 1968 roku”, czyli kontestacji zastanego świata polityki i jej obyczajów przy użyciu technologii stanowiącej atrybut tej generacji. Francuski dyplomata i intelektualista Jean-Christoph Rufin wskazuje też na bardziej ogólny sens tego, co się stało. Chodzi mianowicie o zakres możliwości piątej władzy, pozostających poza jakąkolwiek demokratyczną kontrolą odłamów społeczeństwa obywatelskiego, które mogą paraliżować demokratycznie wybrane władze, uniemożliwiać im sprawne, zgodne z mandatem rządy i podejmowanie niezbędnych reform. Do jakiego stopnia obywatel w społeczeństwie demokratycznym jest uprawniony w swym sprzeciwie wobec państwa, pyta J.-Ch. Rufin²⁴.

Orędzie o stanie państwa wygłoszone przez prezydenta Obamę 25 stycznia 2011 r. miało chyba najbardziej międzynarodowy charakter spośród wszystkich tego typu wystąpień amerykańskiego prezydenta od niepamiętnych czasów. Było skierowane do wewnątrz, skoncentrowane na konieczności modernizacji Ameryki właśnie po to, aby nadal mogła przewodzić w świecie, w którym siła militarna będzie znaczyć coraz mniej, w którym nie będzie odnosić się klarownych zwycięstw, w którym trzeba będzie się liczyć z innymi ośrodkami siły i wpływu. Obama chciałby przywrócić Ameryce wielkość jej modelu, który tak bardzo ucierpiał w wyniku wojen w Iraku i Afganistanie oraz kryzysu finansowo-gospodarczego. Wie bowiem, że możliwe jest przywrócenie vitalności Ameryce, ale także rozumie, że nie ma powrotu do *American world*, do *Pax Americana*. Ameryka będzie musiała się teraz ze światem układać, a nie mu rozkazywać. Aby czynić to skutecznie, musi zregenerować całościowy potencjał, jeśli bowiem chodzi o militarny, to jest on zbyt wielki w stosunku do możliwości i potrzeb, a jego wielkość zmusza innych do zbrojeń. Od tego, czy Barackowi Obamie uda się sanacja Ameryki, zależy, czy odegra ona rolę regenta w procesie przejścia do prymatu Chin, czy zachowa na dłużej pozycję *primus inter pares*²⁵.

²³ J. Przybylski, „Amerykańska dyplomacja obnażona i upokorzona”, *Rz* z 29 listopada 2010 r.; B. Węglarczyk, M. Zawadzki, „Tak USA widzą świat”, *GW* z 29 listopada 2010 r.; M. Zawadzki, „Rewolucja WikiLeaks”, *GW* z 30 listopada 2010 r.; T. Gryniewicz, „Przecieki ery cyfrowej”, *GW* z 4–5 grudnia 2010 r.; S. Erlanger, „Europeans criticize fierce U.S. response to leaks”, *IHT* z 9 grudnia 2010 r.; W. Ischinger, „The end of diplomacy as we know it?”, *IHT* z 3 grudnia 2010 r.

²⁴ J.-Ch. Rufin, „WikiLeaks ou la troisième révolte”, *Le Monde* z 21 grudnia 2010 r.

²⁵ R. Cohen, „Obama's post-Iraq world”, *IHT* z 2 września 2010 r. (autor porównuje znaczenie wojny w Iraku dla USA przez analogię do roli konfliktu sueskiego i algierskiego dla Wielkiej Brytanii i Francji; jednak ją odrzuca); G. Rachman, „Koniec świata, jaki znamy, czyli powolny upadek USA”, *DGP* z 12–14

Wydarzenia w Afryce Północnej w pierwszych tygodniach 2011 r. można także uznać za niechciany z amerykańskiego punktu widzenia efekt globalizacji. Początek dała Tunezja, ale największy ciężar gatunkowy miała **rewolta w osiemdziesięcioletnim Egipcie**, która doprowadziła do upadku rządzącego tym krajem od 30 lat autokraty. To właściwie rzecz bez precedensu w najnowszej historii świata arabskiego. Społeczeństwo w drodze ulicznego buntu usuwa władcę, którego formalnie wybierało na prezydenta przez niemal trzy dekady. Rewoltę wznieśli młodzi ludzie, dobrze obeznani z nowoczesną, będącą owocem globalizacji technologią komunikowania, która najpierw uświadamiała im inną, respektującą godność człowieka, poczucie sprawiedliwości i uczestnictwa, dającą nadzieję wizję porządku społecznego. Potem ta technologia pozwoliła im się zorganizować. Niemalą rolę w tym proteście odegrała demografia. Kraje arabskie są ogromnym rezerwuarem młodych ludzi pozbawionych perspektyw zawodowych i życiowych (stąd przecież także są oni zapleczem ugrupowań terrorystycznych). Pozbawiony ropy Egipt należał do krajów spychanych na margines w procesach globalizacji gospodarczej (PKB na poziomie dwóch trzecich niespełna pięcioletniej Finlandii). Kostniejący i autokratyczny system władzy oraz długotrwała stagnacja ekonomiczna stawały się aktywnym elementem sytuacji rewolucyjnej. Jeszcze nie wiadomo, czy za jakiś czas będziemy mówić o rewolucji 25 stycznia jak o rewolucji goździków w Portugalii czy jak o „pomarańczowej rewolucji” na Ukrainie. Rezygnacja konstytucyjnego prezydenta w pierwszych dniach lutego 2011 r. i przejście władzy przez wspierającą go do tej pory armię, jak się wydaje, stanowi regres w procesie demokratycznym. Armia egipska nie przypomina tureckiej. Czasem jest to niezbędna faza przejściowa, czasem taki stan się utrwała. Na szczęście, społeczeństwo egipskie nie wydaje się podatne na urok islamskiego fundamentalizmu. Bracia Muzułmanie, prześladowani przez Mubaraka, nie są tak skrajni, jak ich niegdyś przedstawiano. Pewnym problemem jest brak czytelnego i powszechnie respektowanego przywództwa (przywódca) po stronie opozycji, co może wydłużać okres przejściowy. Istotne są także możliwe implikacje geopolityczne. Bez wątpienia młodzi Egipcjanie okupujący plac Tahrir rzucili wyzwanie porządkowi wspieranemu przez Amerykę. Amerykańska pomoc wojskowa i ekonomiczna miała czynić z Egiptu jeden z głównych – oprócz Arabii Saudyjskiej i w innym sensie Izraela – filarów pozycji USA na Bliskim Wschodzie oraz utrzymywać Kair w roli cichego sojusznika Jerozolimy. Wielce mówiące było nagłe odwrócenie się Waszyngtonu od swego do tej pory wiernego przyjaciela i głośne domaganie się natychmiastowego ustąpienia Mubaraka, którego cały czas bezwarunkowo wspierał. Jak wskazywali nieoficjalnie dyplomaci z innych krajów, to przestroga dla innych sojuszników USA: **Amerika może porzucić swego protegowanego z dnia na dzień**. Podobnie postąpiły szwajcarskie banki, które zamroziły konta Mubaraka i jego rodziny. Do poprzedniego dnia te pieniądze były całkiem „koszerne”. Jak pisał jeden z ekspertów: „Jakikolwiek porządek się z tego wyłoni,

listopada 2010 r. Autor wskazuje na istotną erozję pięciu elementów idei (liberalnego internacjonalizmu), która leżała u podstaw hegemonii Ameryki: marsz ku demokracji, nadrzędność rynku nad państwem, transformująca moc technologii, demokratyczny pokój, siła militarna, która może pokonać każdą inną siłę na ziemi. D. Rothkopf, „Obama. Najlepszy tydzień w karierze”, *GW* z 22–23 stycznia 2011 r.

będzie on z pewnością mniej przyjazny wobec Izraela i Stanów Zjednoczonych, które dla wielu protestujących były symbolami służalczej postawy Egiptu²⁶. To, co się stało w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie, obala tezę o globalnym regresie demokracji wraz ze zmniejszoną rolą i aktywnością USA. Potwierdza jedynie, że demokracji nie można siłą wnieść z zewnątrz, jak chcieli to czynić jeszcze niespełna dziesięć lat temu waszyngtońscy autorzy projektu „szerszego Bliskiego Wschodu”. Więcej dobrego dla sprawy demokracji w tym regionie zrobiło historyczne już przemówienie prezydenta Obamy na uniwersytecie w Kairze w 2009 r. niż polityka brutalnej *regime change* administracji G.W. Busha. Rozlanie się tych protestów na inne kraje arabskie, od Algierii i Libii po Jemen i Bahrajn, pozwalało obserwatorom mówić o „arabskiej wiosnie ludów” w środku europejskiej zimy (styczeń–luty 2011 r.). Kolejne rewolty nie były jednak już tak skuteczne jak dwie pierwsze, które doprowadziły do obalenia autokratycznych władców Tunezji i Egiptu.

NATO: NOWA STRATEGIA I AFGAŃSKIE JĄDRO CIEMNOŚCI

Rok 2010 upłynął w NATO pod znakiem przygotowań do szczytu w Lizbonie, na którym miała zostać przyjęta nowa koncepcja strategiczna Sojuszu. Był to zarazem rok nasilającej się operacji w Afganistanie, która przynosiła coraz więcej strat po wszystkich stronach tego ciągnącego się od jesieni 2001 r. konfliktu. Przyjęcie strategii okazało się łatwiejsze, niż można było przypuszczać, a stało się tak ze względu na sposób opracowania tego dokumentu. Przypomnijmy, że decyzję o jego przygotowaniu przyjęto w czasie jubileuszowego szczytu NATO w Strasburgu-Kehl w kwietniu 2009 r. Pierwszą fazą przygotowań były prace powołanej przez nowego sekretarza generalnego Andersa Fogha Rasmussena w sierpniu 2009 r. Grupy Ekspertów (zwanej potocznie „grupą mędrców”). W jej skład wchodziło dwunastu byłych dyplomatów wysokiej rangi (z Polski prof. Adam D. Rotfeld), a przewodziła jej Madeleine Albright, sekretarz stanu USA w czasie drugiej kadencji Billa Clintona. Grupę Ekspertów wspierali najwyższej klasy doradcy, wielu z nich o znacznie lepszej kompetencji niż niektórzy członkowie Grupy Ekspertów²⁷. Grupa Ekspertów odbyła niezliczoną liczbę spotkań i narad we wszystkich krajach członkowskich; złożyła także wizytę w Moskwie, choć gospodarze zgotowali „mędrcom” Sojuszu chłodne przyjęcie. 17 maja 2010 r. przekazała sekretarzowi generalnemu swój raport zatytułowany *NATO 2020: Assured Security. Dynamic Engagement*. Bardzo treściwy raport był adekwatną rekapitulacją ewolucji sytuacji bezpieczeństwa w poprzedzającej dekadzie i formułował szereg wniosków dla Sojuszu w świetle jego doświadczeń i nowych wyzwań. Ekspersi przypomnieli, że Sojusz jest organizacją regionalną, nie globalną, a także że w swoich operacjach, również w Afganistanie, powinien przestrzegać prawa międzynarodowego. Punkt ciężkości został położony

²⁶ A. Shadid, „Uncharted ground after stunning end of Egypt’s regime”, *IHT* z 11 lutego 2011 r.; „The upheaval in Egypt. An end or a beginning”, *The Economist* z 5–11 lutego 2011 r.

²⁷ Wśród doradców byli m.in. R. Asmus, H. Binnendijk, S. Flanagan, C. Grand, K. Hein-Kamp, T. Valasek.

na odświeżenie fundamentu, który stanowi art. 5 i któremu należy zapewnić wiarygodność.

Pierwsza faza przygotowań miała zatem silny wymiar publiczny, uruchomiła bowiem debatę w łonie *security communities* i w mediach krajów członkowskich. Sama strategia powstała jednak już poza udziałem, a nawet wzrokiem opinii publicznej wspólnoty atlantyckiej. Więcej, znikomy wpływ na zapisy finalnego dokumentu miały rządy państw członkowskich. Zgodzono się bowiem na to, aby nową koncepcję strategiczną Sojuszu napisał sekretarz generalny z pomocą swoich dwóch–trzech najbliższych doradców (co stało się podobno gdzieś w domu letniskowym w Prowansji). Przygotowany w ten sposób dokument został przedstawiony rządów państw członkowskich w formule *take it or leave it*, czyli praktycznie bez możliwości dalszego negocjowania jego zapisów. Rządy nie odważyły się stanowczo domagać modyfikacji projektu w sprawach dla nich interesujących z obawy, że dojdzie w ten sposób do otwarcia puszk Pandory i rozsądzenia zwartego i zrównoważonego w sumie tekstu. Swoisty szantaż powiódł się i strategia została przyjęta na szczycie NATO, który odbył się w mało eleganckich hangarach wystawowych na obrzeżach Lizbony 19–20 listopada 2010 r. Zupełnie niedemokratyczna procedura przyniosła sukces. Nie zmienia to w niczym opinii o jej niedemokratycznym charakterze. Warto na to zwrócić uwagę malkontentom narzekającym na deficyt demokracji w Unii Europejskiej. Sukces odniesiono dlatego, że Rasmussen generalnie dobrze odzwierciedlił interesy bezpieczeństwa i postulaty państw członkowskich. Zwięzłość dokumentu dawała mniejsze szanse na kolejne poprawki i uzupełnienia. Poziom zadowolenia z nowej strategii prezentowany przez przywódców państw członkowskich był wysoki.

Nowa koncepcja strategiczna Sojuszu z 19 listopada 2010 r. nosi tytuł *Aktywne zaangażowanie, nowoczesna obrona (Active Engagement, Modern Defense)*. Poświęca się jej sporo miejsca w niniejszym *Roczniku*, zatem tutaj tylko kilka uwag. Do trzech podstawowych zadań Sojuszu zaliczono: zbiorową obronę, opanowywanie kryzysów i stabilizowanie sytuacji po konflikcie, bezpieczeństwo kooperatywne (współpraca z państwami spoza Sojuszu i innymi organizacjami międzynarodowymi). Dużo uwagi poświęcono obronie i odstraszeniu i postanowiono rozwijać system obrony antyrakietowej chroniący terytoria i ludność państw członkowskich. Sprawa MD w jej nowej wersji (ALTBMD) przestała obecnie dzielić Amerykę i większość Europy. Zadeklarowano gotowość współpracy z Rosją w tym zakresie, ale nie planuje się tworzenia wspólnego systemu. Jego rozwój na pewnym etapie (gdy będzie chodzić o broń strategiczną) może prowadzić do napięć z Rosją, która ustami swego prezydenta Miedwiediewa zapowiedziała, że chce uczestniczyć w budowie takiego systemu na równych prawach, w przeciwnym wypadku podejmie działania równoważące negatywny wpływ, jaki może on wyrzucić na wartość jej zdolności odstraszących²⁸. W nowej strategii deklaruje się zamiar rozbudowy zdolności zwalczających zagrożenia dla bezpieczeństwa energetycznego, terroryzm i cyber-

²⁸ Na Zachodzie także nie brakowało osobistości opowiadających się za wspólnym z Rosją systemem antyrakietowym, np.: S. Nunn, I. Ivanov, W. Ischinger, „All together now: Missile defense”, *IHT* z 21 lipca 2010 r.

terroryzm, dla infrastruktury krytycznej. Unię Europejską postrzega się jako unikatowego i podstawowego partnera (*unique and essential partner*) dla NATO. Sojusz opowiada się za konstruktywnym partnerstwem z Rosją (choć pod pewnymi warunkami), pozostawia otwarte drzwi dla państw, które spełniają warunki członkostwa, oraz pragnie pozostawać politycznym partnerem dla państw z innych części świata w sferze bezpieczeństwa; będą one mogły uczestniczyć w jego operacjach stabilizacyjnych spoza art. 5. Państwa NATO zobowiązały się rozwijać pełne spektrum zdolności do prowadzenia różnorodnych operacji zapewniania i wymuszania pokoju. Nie doszło do zasadniczych zmian w doktrynie nuklearnej Sojuszu: „Tak długo, jak istnieje broń nuklearna, NATO pozostanie sojuszem nuklearnym”. Jej jedynym zadaniem jest odstraszenie.

Związłe i gładkie frazy dokumentu nie były w stanie rozwiązać wątpliwości, które sformułowano przed szczytem w Lizbonie i które pozostały aktualne po jego zakończeniu. Obawy o przyszłość i wiarygodność Sojuszu wiązały się z przebiegiem operacji afgańskiej i zdolnością, nawet bardziej polityczną niż militarną, do podejmowania takich misji w przyszłości (szerzej nieco dalej), ze skutkami kryzysu finansowego dla gotowości łożenia przez państwa członkowskie należytych sum na obronę i zdolności do operacji poza art. 5, z rozwojem relacji między NATO a UE w świetle rosnących zdolności Unii do zapewniania bezpieczeństwa swym członkom. Ten ostatni problem jest wynikiem zanikania tradycyjnych zagrożeń w strefie euroatlantyckiej, natomiast UE rozwinęła lepsze środki zapobiegania zagrożeniom niemilitarnym²⁹. Z tego też powodu państwa europejskie wykazują mniejszą od USA skłonność do wydatków czysto militarnych. Sprowokowało to znanego amerykańskiego badacza Andrew Bacevicha do sformułowania postulatu wycofania USA z NATO i przymuszenia Europy, która w przeciwieństwie do Ameryki „odwróciła się od wojny”, do zadbania o swoje bezpieczeństwo całkowicie samodzielnie. Bacevich uznaje przy tym, że Europejczycy mogą mieć pretensje do Stanów Zjednoczonych, które po zimnej wojnie przekształciły Sojusz w instrument realizowania swych globalnych ambicji i pozbawiły Europę wpływu na sposób i kierunek ich realizacji³⁰. Bardziej długofalowym wyzwaniem dla Sojuszu będzie rozchodzenie się interesów geostrategiczných Europy i USA w związku z rosnącą potęgą Chin.

2010 rok był dziewiątym rokiem wojny w Afganistanie. Wojny toczonej przez Sojusz Atlantycki przeciwko tej części Afgańczyków, którzy sprzeciwiają się obecności wojskowej i narzucaniu z zewnątrz określonego porządku politycznego, którzy nie uznają władzy ustanowionej przez Zachód. Ci Afgańczycy, przez NATO zawsze zbiorczo nazywani talibami, co pozwala ich traktować przez siły NATO jako

²⁹ Ph. Stephens, „Bez nowej strategii NATO zostanie zmarginalizowane. Na własne życzenie”, *DGP* z 27 września 2010 r.; I.J. Brzeziński, „Obama’s five challenges at Lisbon”, *IHT* z 17 października 2010 r.; A.F. Rasmussen, „NATO needs a missile defense”, *IHT* z 12 października 2010 r.; R. Kuźniar, „Szczyt w Lizbonie i przyszłość NATO”, *Polski Przegląd Dyplomatyczny*, maj–czerwiec 2010.

³⁰ Obecnie, pisze Bacevich, **spośród demokracji liberalnych jedynie Stany Zjednoczone i Izrael postanowiły nadal zaprzęgać wojnę do swoich celów – dobrych bądź złych – i regularnie demonstrować całemu światu jej użyteczność.** A. Bacevich, „Stany Zjednoczone powinny jak najszybciej wycofać się z NATO”, *Polska – The Times* z 28–30 maja 2010 r.

ludzi wyjętych spod prawa, nie są święci. Wszyscy pamiętają ich rządy do września 2001 r. Dzisiaj nie stwarzają jednak zagrożenia dla bezpieczeństwa Zachodu. Wspierający ich terroryści stanowią margines i są tam dlatego, że są tam również siły NATO. Tymczasem siły NATO, ISAF, zaczynają wykazywać w Afganistanie cechy kolektywnego pana Kurtza z opowiadania Josepha Conrada *Jądro ciemności*. Niczym powieściowy pan Kurtz zdają się jakoś dziwnie odmienione przez długotrwałą wojnę, przez specyficzne środowisko, w którym się znajdują, zdają się zapominać, skąd przybyli i w jakim celu. ISAF stają się ośladnięte koniecznością zaprowadzenia pełnej kontroli na całym terytorium Afganistanu i narzucenia temu krajowi swojej koncepcji porządku. To ISAF sprawują władzę, a Afgańczycy są ludnością tubylczą, która się powinna podporządkować woli białego człowieka. Ci, którzy się przyłączą i zaakceptują władzę pana Kurtza (ISAF), są popierani przez ISAF, ci, którzy są przeciw, muszą być zabici lub inaczej pokonani. Ma być tak, jak chce ISAF (współczesny pan Kurtz, tym razem w sercu Azji). Liczba ofiar nie odgrywa wielkiej roli. Ta misja zaczyna się wpisywać w historię interwencji państw zachodnich o często czysto imperialistycznym podłożu. Niekiedy uzasadniano to misją cywilizacyjną, jak Brytyjczycy w Indiach, niekiedy wprost interesami ekonomicznymi czy strategicznymi. Te ostatnie nie zawsze były trafnie definiowane, nawet jeśli intencja była słuszna. Tego rodzaju ekspedycje, jeśli trwają zbyt długo, wyrażają się i stanowią swoje zaprzeczenie. Przypomnijmy, że *Czas apokalipsy*, którego akcja toczy się w Wietnamie, był filmem ukazującym ponure strony tej wojny. Zmieniała ona psychikę ludzi, którzy na nią trafili. Fanatycy wojny afgańskiej i budowy porządku społecznego zgodnego z wolą i wyobrażeniem białego człowieka potrafili ją świetnie uzasadnić. My, ludzie Zachodu, potrafiliśmy zawsze to czynić. Politycy i opinia publiczna państw NATO powinni czym prędzej głęboko zastanowić się nad sensem tej wojny i zrobić wszystko, aby ISAF (czyli NATO) nie stały się panem Kurtzem. Sytuacja jest trudna, ponieważ nie widać w społeczności międzynarodowej conradowskiego Charlesa Marlowa, który mógłby nas stamtąd wyprowadzić, zanim ta operacja wyrodzi się zupełnie. Dalszym, bezrefleksyjnym trwaniem w tej operacji NATO może na długo uszkodzić swą zdolność do podejmowania misji spoza art. 5. Bezrefleksyjnym, ponieważ nie można uznać za refleksję kolejnych narad, których celem jest znalezienie klucza do zwycięstwa, czyli poświęconych tak naprawdę generowaniu wzrostu sił wojskowych, wystarczająco wielkich, aby pokonać powstańców i innych rebeliantów. Dalsze, niezmienione trwanie w tej operacji będzie umacniać w oczach reszty świata wizerunek Zachodu używającego bez zahamowań siły, aby narzuć swą wolę słabszym, niżej rozwiniętym krajom innych kontynentów i cywilizacji.

Sytuacja jest o tyle niepokojąca, że wprowadzicie na szczycie NATO w Lizbonie zadeklarowano zakończenie operacji czysto wojskowej i przekazanie odpowiedzialności za bezpieczeństwo Afganistanu rządowi Karzaja, który tam rządzi z naszej woli już dziesiąty rok, lecz jednocześnie powiedziano, że nie oznacza to końca obecności wojskowej Sojuszu w tym kraju³¹. Zważywszy na bardzo niskie prawdopodobień-

³¹ S. Erlanger, J. Calmes, „NATO sees long-term role after Afghan combat”, *IHT* z 20 listopada 2010 r.; A.J. Rubin, „Afghan report exposes a split over pullout timelines”, *IHT* z 16 grudnia 2010 r.

stwo osiągnięcia przez reżim Karzaja zdolności do przejścia takiej odpowiedzialności, oznacza to nieuchronność dalszego uczestniczenia przez NATO w operacjach wojskowych, w tym dalszego zabijania Afgańczyków, choć zapewne będą to już wojska mniejszej liczby państw członkowskich. Deklaracja prezydenta Obamy, że od drugiej połowy tego roku (tak, 2011!) będzie następować zmniejszanie liczby wojsk USA w Afganistanie, jest tak samo dezawuowana przez gen. Petraeusa i innych wojskowych, jak deklaracja o przekazaniu Afganistanu ekipie Karzaja, aby rządziła samodzielnie. Problemem tej wojny jest prowadzenie jej przez wojskowych, którzy samodzielnie decydują o jej charakterze. Politycy, z prezydentem Obamą włącznie, wołają się „do tego nie mieszać”, choć jest to ich obowiązkiem. **Logika wojskowa nadal góruje nad logiką polityczną**, a wojskowi za polityków decydują o charakterze tej wojny. Skandalicznym przejawem tej niezdrowej samodzielności były głośne wypowiedzi głównodowodzącego ISAF gen. Stanleya McChrystala i jego otoczenia podważające czy wręcz ośmieszające jakiegokolwiek kompetencje władzy cywilnej w odniesieniu do wojny. Przypomnijmy jego słowa z wywiadu udzielonego polskiej prasie: „Oczywiście zabijamy talibów i ich komendantów, żeby ich osłabić. (...) Ogłosimy zwycięstwo, gdy zapewnimy Afgańczykom wolność wyboru i siłę. (...) Myślę, że tego sobie życzą”. Generał wie, czego sobie życzą Afgańczycy. Oczywiście ci, których „nie zabijamy”³². Wprawdzie prezydent Obama był zmuszony odwołać McChrystala, ale problem nadrzędności czynnika wojskowego nad politycznym w tej wojnie pozostał³³. Świadczą o tym publiczne wypowiedzi jego następcy gen. Davida Petraeusa, w których sprzeciwia się wycofaniu z Afganistanu, a nawet pozwala sobie na krytykę wypowiedzi prezydenta Karzaja, w których ten ostatni ubolewa nad nadmierną liczbą ofiar cywilnych³⁴. Zgodnie z ocenami ONZ 2010 rok, zwłaszcza jego pierwsza połowa, charakteryzował się dużym wzrostem liczby ofiar, cywilnych i po stronie rebeliantów, co wiązało się z realizacją bardziej ofensywnej strategii ISAF, zaproponowanej przez McChrystala i Petraeusa i zaakceptowanej przez prezydenta Obamę w grudniu 2009 r. Jej celem było fizyczne wyniszczenie talibów, a przy tym doszkolenie oficjalnej armii i sił bezpieczeństwa Afganistanu w taki sposób, aby zmienić układ sił w Afganistanie zdecydowanie na korzyść NATO i ekipy Karzaja, co mogłoby otworzyć drogę do stopniowego zmniejszania zaangażowania militarnego USA i całego Sojuszu w tym kraju. W tym celu znacząco zwiększono też liczbę wojska: ISAF liczyły w 2010 r. ok. 150 tys. żołnierzy. Do tego dochodziła bardziej liczna armia Karzaja oraz jeszcze liczniejsza policja. I te dysponujące miążdzącą przewagą pod każdym względem i zadające

³² „Nie wolno nam przegrać tej wojny”. Wywiad przeprowadził W. Jagielski, *GW* z 30 kwietnia–3 maja 2010 r.

³³ T. Zalewski, „Skaza na Chrystalu”, *Polityka* z 3 lipca 2010 r. McChrystal i jego ludzie udzielili nieautoryzowanego wywiadu magazynowi muzycznemu *Rolling Stone*. W rozmowie pojawiły się drwiny z politycznych przełożonych, w tym z wiceprezydenta J. Bidena i specjalnego przedstawiciela prezydenta USA ds. Afganistanu i Pakistanu Richarda Holbrooke’a. B. Herbert, „Worse than a nightmare”, *IHT* z 25 czerwca 2010 r.

³⁴ E. Schmitt, H. Cooper, D.E. Erlanger, „U.S. military seeks slower pace to wrap up Afghan role”, *IHT* z 11 sierpnia 2010 r.; D. Filkins, „Petraeus opposes a rapid pullout in Afghanistan”, *IHT* z 15 sierpnia 2010 r.

ciężkie straty w ludziach szeregi nie są w stanie rozprawić się ze słabo zorganizowanymi, liczącymi według szacunków NATO 20–25 tys. ludzi siłami powstańców i rebeliantów słabo wyposażonych w uzbrojenie przypominające raczej XVII niż XXI wiek. Wystarczy powiedzieć, że powstańcy nie dysponują ani jednym samolotem bojowym, helikopterem czy dronem. Największe straty są im zadawane właśnie z powietrza i dlatego też ginie przy tej okazji tak dużo osób cywilnych. Wystarczy powiedzieć, że tylko **od stycznia do września 2010 r. samoloty NATO wykonały w Afganistanie ok. 21 tys. lotów bojowych (!)**. Śmierć cywilów jest zawsze w istic orwellowski sposób tłumaczona przez dowódców NATO potrzebą zaprowadzenia stabilności i bezpieczeństwa. Należy podkreślić, że rok 2010 był kolejnym najgorszym rokiem pod względem liczby zabitych: ok. 2500 cywilów i ponad 700 żołnierzy i członków sił koalicji. Wprawdzie ISAF nieco zmniejszyły swój udział, jeśli chodzi o straty cywilne, ale bez najmniejszych oporów, korzystając ze swej gigantycznej przewagi, zabijają w niezliczonych tysiącach talibów, jak gdyby nie byli oni Afgańczykami czy po prostu ludźmi³⁵. Liczba ofiar może się zwiększyć ze względu na forsowany przez Petraeusa plan uzbrajania grup paramilitarnych w poszczególnych wioskach. Dowódca ISAF ignoruje w tym przypadku sprzeciw rządu Karzaja i innych przedstawicieli „władz” afgańskich, którzy wskazują, że będzie to sprzyjać wzrostowi przemocy na najniższym poziomie³⁶. NATO nie poszukuje rozwiązania politycznego, o które rozpaczliwie apelował tuż przed śmiercią Richard Holbrooke³⁷. Zapatrzeni w swoją przewagę technologiczną amerykańscy wojskowi odrzucają głosy, że tej wojny nie da się wygrać, a zwłaszcza że takiej wojny Sojuszowi nie wolno toczyć. Dla wielu polityków i wojskowych wojna w Afganistanie jest, nawet jeśli tego głośno nie mówią, dobrym poligonem – laboratorium wojny³⁸. W przypadku USA wchodzi oczywiście jeszcze w grę interesy ekonomiczne – ujawnienie wcześniej zbadanych ogromnych złóż rud różnych metali i minerałów³⁹ – oraz interesy polityczno-strategiczne związane z sytuacją geopolityczną w Azji (relacje w trójkącie Indie–Pakistan–Afganistan oraz szerszym układzie, w którym znajdują się również Chiny, Iran, Rosja). Ameryka jest aktywnym uczestnikiem na tej szachownicy. Uważa, że powinna tam pozostać, i nawet już nie potrzebuje do tego straszenia

³⁵ C. Philp, „Dobiją talibów w ich mateczniku”, *Polska – The Times* z 13–14 lutego 2010 r.; J. Chivers, „Afghan civilians killed in offensive on Taliban”, *IHT* z 14 lutego 2010 r.; D. Filkins, „Half of town’s Taliban flee or are killed, allies say”, *IHT* z 15 lutego 2010 r.; idem, „Operators of drones are faulted in Afghan death”, *IHT* z 29 maja 2010 r. W tym przypadku **operatorzy drona odpowiadający za pomyłkową śmierć 23 afgańskich cywilów otrzymali reprimendę (!)**. Operatorzy podjęli decyzję o odpaleniu pocisków, siedząc za konsolą w swej bazie lotniczej w Nevada. R. Nordland, „U.N. reports rising Afghan casualties”, *IHT* z 10 sierpnia 2010 r.; A.J. Rubin, „For Red Cross, Afghanistan situation now at its worst”, *IHT* z 15 grudnia 2010 r.

³⁶ M. Green, „Petraeus aims to triple security scheme to arm Afghan recruits”, *Financial Times* z 8 listopada 2011 r.

³⁷ „L’Afganistan ou l’impossible victoire” (Editorial), *Le Monde* z 18 grudnia 2010 r.

³⁸ D. Filkins, „Afghan offensive is new war model”, *IHT* z 12 lutego 2010 r.; R. Sylvester, „Afgańskiej wojny Zachód nie jest w stanie wygrać”, *Polska – The Times* z 2–4 lipca 2010 r.; Ł. Słapek, „Afganistan – laboratorium wojny”, *Polska – The Times* z 18–20 czerwca 2010 r.; L. Włodek-Biernat, „Jak skończyć afgańską wojnę”, *GW* z 22–23 maja 2010 r.

³⁹ J. Risen, „U.S. identifies vast riches of minerals in Afghanistan”, *IHT* z 13 czerwca 2010 r.

radykalnym islamem i antyzachodnim dżihadem, choć oczywiście nadal trafiają się porównania islamskiego dżihadu do światowego komunizmu, które mają uzasadnić aktywność militarną USA wobec różnych krajów islamskich⁴⁰.

Dowodzący operacją w Afganistanie zdają się wierzyć, że siłą można wymusić rozwiązanie problemu afgańskiego, że niedobitki talibów przyjmą warunki zwycięzców, czyli NATO, którzy wskażą, kto i w jaki sposób ma rządzić w tym odległym od Zachodu kraju. Przypomina to trochę logikę sytuacji w Europie Środkowej w latach 1944–1948. Kiedy już wszyscy przeciwnicy wnoszonego z zewnątrz nowego ładu zostali zabili lub uwięzieni, zapanował spokój. Trwał dłużej, niż powinien, ale znacznie krócej, niż wierzyli ci, którzy odnieśli wtedy „zwycięstwo”...

UNIA W CIENIU WIDMA UPADKU EURO

Całkiem niespodziewanie, gdy świat zaczął wychodzić z kryzysu finansowego zapoczątkowanego w 2008 r. (z samego kryzysu, nie z jego konsekwencji), Unia Europejska znalazła się w obliczu klęski swego sztandarowego projektu ostatnich kilkunastu lat – wspólnego pieniądza euro. Problem pojawił się w ostrej postaci w 2010 r., lecz już wcześniej pewne sygnały ostrzegały przed czymś, co w końcu się zdarzyło. Jak pisał amerykański sympatyk tego projektu Paul Krugman, „Unia ignorowała potrzebę ustanowienia instytucji koniecznych do tego, aby uczynić wspólną walutę «działającą» (*workable*). Zamiast tego kraje euro uprawiały myślenie magiczne i działały tak, jak gdyby sama szlachetność projektu unieważniała tego rodzaju obawy. W rezultacie mamy do czynienia z tragedią nie tylko dla Europy, lecz także dla tej części świata, dla której Europa jest modelem rozwoju. **Europejczycy pokazali nam, że możliwy jest pokój i jedność w regionie mającym taką wojenną przeszłość i że w tym procesie stworzyli być może najbardziej przyzwoite społeczeństwo w ludzkiej historii, łączące demokrację i prawa człowieka z takim poziomem indywidualnego bezpieczeństwa ekonomicznego, o jakim Ameryka nie może nawet marzyć. Te osiągnięcia zostały teraz postawione pod znakiem zapytania. Jak do tego doszło?**”⁴¹.

Na to pytanie stawiane były różne odpowiedzi, ale z grubsza rzecz biorąc, kryzys euro, który rozpoczął się od niemal bankructwa Grecji, miał u swego podłoża kilka czynników. Czynnik główny stanowił chyba jednak brak mechanizmu uniemożliwiającego krajowi ze strefy euro „jazdę na gapę” przez dłuższy czas, przez co należy rozumieć życie ponad stan (ponad wartość wzrostu gospodarczego), a pokrywanie zadłużenia emisją rządowych obligacji kupowanych łatwo przez zagranicznych inwestorów, dla których zabezpieczeniem była sama przynależność tego kraju do strefy euro, a nie zdrowa polityka makroekonomiczna i rygorystyczne przestrzeganie kryteriów konwergencji odnoszących się do euro. Gwarantem wypłacalności stawały się Niemcy – największa i najmocniejsza gospodarka strefy. Kryteria konwergencji zostały zresztą rozluźnione kilka lat wcześniej nie przez kogo innego, tylko przez Francję Chiraca i Niemcy Schrödera. Skoro udało się wtedy wiel-

⁴⁰ R. Wright, „The myth of modern jihad”, *The New York Times* z 29 czerwca 2010 r.

⁴¹ P. Krugman, „Can Europe be saved?”, *IHT* z 12 stycznia 2011 r.

kim, dlaczego miałyby się nie udać mniejszym? Problem w tym, że o ile w przypadku obu mocarstw, państw odpowiedzialnych, była to sytuacja incydentalna, szybko skorygowana, o tyle dla Greków stała się „sposobem na życie”, na dobre życie. **Dla państw takich jak Grecja przynależność do eurolandu stała się prawdziwą bonanzą**, pisali niektórzy eksperci. Grecy ukrywali przy tym wielkość swego zadłużenia, a uzależnione od banków agencje ratingowe przymykały na to oko, dzięki czemu Grecy mogli długo korzystać ze statusu kraju, któremu łatwo się pożycza. Ateny mogły łatwo sprzedawać nisko oprocentowane obligacje. Zwalniało to Greków od trudnych reform i wysiłku na rzecz poprawy konkurencyjności gospodarki. Gdy przyszedł światowy kryzys, wszyscy w systemie finansowym przestali sobie wierzyć i Ateny nie były dłużej w stanie ukrywać swej sytuacji. Grecka gospodarka, a wręcz cała Grecja (budżet państwowy), aby móc funkcjonować, musiała nadal pożyczać, ale już nie chciano jej udzielać pożyczek. Kraj stanął w obliczu bankructwa (dług publiczny sięgnął 115% greckiego PKB). W podobnej sytuacji, choć z nieco innych powodów, znalazły się takie kraje jak Irlandia (toksyczne długi banków) oraz Portugalia i Hiszpania (pęknięcie bańki spekulacyjnej na rynku nieruchomości). Kraje te, od pierwszych liter ich nazw, zostały ochrzczone niezbyt dumnym mianem **PIGS**. Gigantyczna operacja ratunkowa dla Grecji (łączony pakiet pomocy finansowej z MFW i krajów strefy euro, przede wszystkim Niemiec), a potem spekulacje wokół tego, kto następny znajdzie się na progu bankructwa i czy strefa euro to udźwignie, podważyły wiarygodność samej europejskiej waluty. Doszło do tego, że hiszpańskie obligacje państwowe zaczęli kupować Chińczycy, co stanowiło pośrednie wsparcie dla euro. Dodatkowy problem stwarzał rosnący dług państwowy wielu krajów strefy wynikający nie tyle z braku przywiązania do kryteriów konwergencji, ile z zastosowania recepty G.W. Busha, czyli obniżania podatków dla największych firm (i ich właścicieli), co podobnie jak w USA nie oznaczało wzrostu aktywności gospodarczej i ogólnej sumy podatków wnoszonych do budżetu, lecz spadek przychodów budżetowych i niemożność pokrycia wielu programów rządowych zapewniających spójność społeczną, ochronę zdrowia, dobrą edukację czy rozwój infrastruktury. Budżety pozbawione wpływów podatkowych zadłużały się, aby utrzymać dotychczasowy poziom świadczeń, itd.⁴² Jak pisał Jordan Stancil w artykule pt. „Europejska reaganomika”, „wpływy spadały, faworyzując najbogatszych. Obiecywany boom, który miał podnieść wszystkim zarobki, nie nadszedł. A kiedy gospodarka popadła w recesję, trzeba było jeszcze wykupić banki. Teraz zaś przedstawia się rachunek tym, których nawet nie zaproszono na przyjęcie. Głównym powodem braku pieniędzy w budżetach państw była zbytnia redukcja podatków płaconych przez najbogatsze osoby i korporacje”⁴³. Przypomnijmy przy tym raz jeszcze, że kryzys wywołało załamanie na rynkach derywatów (instrumentów pochodnych), które miały dawać graczom wyższe zyski, nie chcieli oni bowiem zadowalać

⁴² J. Bielecki, „Tym razem Lizbona osłabia euro”, *DGP* z 25 marca 2010 r.; P. Krugman, „The euro trap”, *IHT* z 29 kwietnia 2010 r.; P. Boone, S. Johnson, „Can Europe save itself?”, *Economix.blogs.nytimes.com* z 29 kwietnia 2010 r.; H. Davies, „Polsce, a także Wielkiej Brytanii oplaća się wstąpić do strefy euro” (wywiad przeprowadził A. Kozłowski), *Polska – The Times* z 8–10 października 2010 r.

⁴³ *GW* z 19–20 czerwca 2010 r.

się mniejszymi zyskami, pochodzącymi głównie z obligacji rządowych. W rezultacie, w połączeniu z innymi czynnikami, euro straciło stabilność do tego stopnia, że otwarcie zaczęto snuć scenariusze rozpadu strefy, upadku pieniądza, zaburzenia równowagi ekonomicznej w poszczególnych krajach i w całej Europie; istniej, katastroficznej reakcji łańcuchowej, gdyż już same głośno wypowiediane **prognozy o możliwym upadku euro lub samej strefy euro** (niektóre państwa, np. Grecja, miałyby być z niej usunięte, inne, np. Niemcy, mogłyby same z niej wystąpić) wpływały negatywnie na wiarygodność europejskiej waluty. Jak to często bywa przy okazji kryzysów na rynkach finansowych, bardziej niż stan faktyczny liczyły się emocje, niewiedza lub celowo podsycane lęki i brak zaufania. Na przełomie 2010/2011 r. sytuacja nieco się uspokoiła, choć problem długu publicznego w wielu krajach UE, także nienależących do euro (np. Polska), narastał i przypominał tykającą bombę⁴⁴.

Radzenie sobie z kryzysem euro przebiegało w kilku fazach. Zaczęło się od planu ratunkowego dla Grecji oraz przygotowywania się na wypadek konieczności udzielenia podobnej pomocy innym państwom z grupy PIGS. Już w tym punkcie doszło do znacznych kontrowersji i podziału na tych, którzy szermując argumentem szybkiej obrony euro, domagali się bezwarunkowej pomocy dla Grecji, oraz tych, którzy żądali od Grecji przyjęcia wiarygodnego (czytaj: radykalnego i bolesnego) planu naprawy finansów publicznych, w tym zobowiązania, że Grecy nie będą próbowali żyć na cudzy koszt. Ponieważ to Niemcy mieli udzielić największej pomocy, Berlin trwał długo przy drugim żądaniu, aby wymusić uzdrawianie greckich finansów i gospodarki najpierw przez samych Greków. Pomimo wielotygodniowych, gwałtownych demonstracji na ulicach greckich miast Ateny przyjęły taki program i otrzymały łączoną pomoc MFW oraz UE (110 mld euro, z tego z Niemiec 22 mld). Przy tej okazji musiał zostać przyjęty specjalny **europejski mechanizm stabilizacyjny**, dzięki któremu możliwe będzie szybkie przychodzenie z pomocą krajowi zagrożonemu bankructwem⁴⁵. Europejski Bank Centralny ogłosił, że będzie skupował obligacje Grecji i ewentualnie innych krajów w podobnej sytuacji. Po zakończeniu „operacji reagowania kryzysowego” wobec Grecji UE podjęła prace nad tworzeniem bardziej kompleksowego systemu zapobiegania podobnym kryzysom. W gruncie rzeczy chodziło o bardziej dogłębne rozwiązania niż w przypadku paktu stabilności. Ton dyskusji nadawały Niemcy, które jako jedyne duże państwo Unii uniknęły kryzysu finansów publicznych, a przy tym zachowały kilkuprocentową stopę wzrostu. Jak pisał główny ekonomista BRE Banku Ryszard Petru, „euro powinno mieć jak najwięcej cech marki niemieckiej, a jak najmniej drachmy czy lira. Powinna to być waluta stabilna i silna, oparta na mocnych fundamentach gospodarczych, przede wszystkim niskiej inflacji oraz konserwatywnej polityce fiskalnej”⁴⁶. Teoretycznie jest to zasadne, ale gospodarek podobnych do niemieckiej w strefie

⁴⁴ A. Aslund, „Czas płacić rachunki” (rozmowę przeprowadził M. Stasiński), *GW* z 19–20 czerwca 2010 r.; W. Gadomski, „Kto następny?”, *GW* z 4–5 grudnia 2010 r.; L. Thomas Jr., „The crisis that isn't going away”, *IHT* z 7 stycznia 2011 r.; G. Rachman, „Europa nie umie zaciskać pasa”, *DGP* z 13 maja 2010 r.

⁴⁵ T. Bielecki, „UE obiecuje pomoc, Grecja nadal bez pieniędzy”, *GW* z 26 marca 2010 r.; J. Bielecki, „Unia szykuje plan obrony euro”, *DGP* z 10 maja 2010 r.; M. Weissbrot, „The E.U.'s dangerous game”, *IHT* z 12 maja 2010 r.

⁴⁶ R. Petru, „Marka ma być wzorem dla euro”, *DGP* z 13 maja 2010 r.

euro jest tylko kilka. Pojawił się fundamentalny problem, czy inne kraje i społeczeństwa potrafią zbliżyć się do niemieckich standardów. Uratowanie euro i przywrócenie gospodarczej witalności UE zależało od reform w państwach członkowskich i w samej Unii. Renomowany analityk finansowy Wolfgang Muenchau uważał, że do przetrwania strefy niezbędne są trzy warunki: system rozwiązywania kryzysów, koordynacja polityki fiskalnej oraz ograniczenie nierównowagi wewnątrz strefy. Na tym jednak nie koniec. Wkrótce potem będą potrzebne europejskie obligacje i embrionalna unia fiskalna. Zdaniem prof. Witolda Orłowskiego strefa euro stanęła wobec alternatywy: „albo miękki pieniądz, co oznaczać będzie na dłuższą metę wyższą inflację i wyższe stopy procentowe, a być może kontynuację kryzysu, albo zacieśnienie reguł, co spowoduje rewolucję w Unii. Spełnią się przepowiednie tych, którzy obawiają się, że Niemcy będą dyktować reszcie Europy warunki polityki gospodarczej”⁴⁷. Na szczęście, nie we wszystkich krajach „niemiecki straszak” działał tak jak w Polsce. Polska pozostaje zresztą poza strefą euro. Pod naciskiem Niemiec najpierw doszło do uzgodnienia zmian w traktacie lizbońskim pozwalających na ustanowienie mechanizmu pomocowego dla określonego kraju, gdyby jego sytuacja zagrażała stabilności całej strefy (w grudniu 2010 r.). Uruchomienie mechanizmu może być powiązane z postawieniem warunków krajowi w potrzebie. Nowy mechanizm ma od 2013 r. zastąpić tymczasowy fundusz wielkości 750 mld euro ustanowiony dla całej strefy przy okazji pomocy dla Grecji. 4 lutego 2011 r. na spotkaniu szefów rządów i państw UE „Niemcy i Francja zainicjowały odważny wysiłek na rzecz wzmocnienia strefy euro i zaproponowały plan daleko idącego pogłębienia integracji siedemnastu krajów strefy euro. Ten krok wzbudził wprawdzie natychmiast głosy sprzeciwu, lecz będzie prowadzić do ustanowienia **załączkowego rządu ekonomicznego w Europie**”⁴⁸. Plan zwany paktem na rzecz konkurencji przewiduje więcej kryteriów konwergencji (łącznie z wysokością podatków, kwotami przekazywanymi na zabezpieczenie emerytalne czy systemem indeksacji płac); byłyby one wiążące prawnie i opatrzone możliwością nakładania sankcji na państwa, które ich nie respektują; przewiduje się także dalej idącą harmonizację makropolityk ekonomicznych.

Kłopoty euro i państw tworzących strefę, a następnie inicjatywy zmierzające do wyjścia z kryzysu przez stworzenie mechanizmów, o których nie pomyślano w momencie wprowadzania wspólnej waluty, niosły ze sobą dwie konsekwencje. Po pierwsze, pojawienie się realnej perspektywy pęknięcia UE na strefę pogłębionej integracji gospodarczej (euro) oraz państwa pozostające poza nią. Te drugie, co oczywiste, nie będą mogły wywierać wpływu na reguły koordynacji i harmonizacji polityki ekonomicznej państw strefy euro. Już od dawna nazywano taką sytuację „**Europą dwóch prędkości**”. Państwa spoza strefy, jak Polska, podniosły protest, ale ich racje były słabe: skoro nie chciały wcześniej znaleźć się w strefie euro, nie mogą teraz odgrywać roli „psa ogrodnika”. To na użytkownikach euro spoczywa

⁴⁷ W. Muenchau, „Reforma albo rozpad UE”, *DGP* z 6 maja 2010 r.; P. Czarnowski, „Cztery scenariusze dla euro”, *DGP* z 11 maja 2010 r.; W. Orłowski, głos w dyskusji: *Dylemat Europy: miękkie euro albo dyktat Niemiec*, *DGP* z 31 maja 2010 r.

⁴⁸ S. Castle, „Germany and France roll out plan to boost euro”, *IHT* z 4 lutego 2011 r.

obowiązek dbania o jego kondycję i nikt z zewnątrz nie powinien w tym przeszkadzać. Państwa spoza mają do wyboru: albo możliwie szybko spełnić kryteria konwergencji i przyłączyć się do strefy euro, jak na przykład Polska, albo pogodzić się z tą sytuacją jako świadomym wyborem, jak na przykład Wielka Brytania⁴⁹. Drugą konsekwencją był **poważny uszczerbek na wizerunku UE jako globalnego mocarstwa** (jeśli to Chińczycy kupowali obligacje rządu Hiszpanii w celu utrzymania jej makroekonomicznej stabilności jako członka strefy euro). Dobrze ujął to Roger Cohen, obserwując chaotyczne zabiegi na rzecz ratowania Grecji, a potem stabilizowania całej strefy: „Jest coś nieodparcie komicznego w tym obrazie postlizbońskiej Europy z jej opowieściami o bokowaniu w ciężkiej kategorii na światowej scenie, gdzie euro było uważane za polityczny instrument jej roli, zredukowanej do śmiesznych kłótni towarzyszących próbom wyjścia z kryzysu”⁵⁰.

Być może najbardziej nieoczekiwaną konsekwencją europejskiego kryzysu, zwłaszcza kryzysu euro, okazał się **spektakularny wzrost pozycji Niemiec**. Szybkie wyjście Niemiec z kryzysu gospodarczego i powrót na ścieżkę wzrostu, znakomite wyniki w eksporcie pomimo dużego spadku w handlu światowym, wreszcie poddyktowanie sposobu wychodzenia z zagrożenia dla strefy euro pod wpływem finansowego *performance* Grecji i innych krajów grupy PIGS, sprawiły, że Niemcy stały się w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy przedmiotem niemal takiego samego zainteresowania jak Chiny. Sukces gospodarczy odniosły bez pakietów stymulacyjnych i poluzowania polityki fiskalnej, a jego źródła tkwią w bolesnej restrukturyzacji gospodarki, reformie rynku pracy i poprawie konkurencyjności ich przedsiębiorstw, zwłaszcza małych i średnich, jeszcze w okresie urzędowania socjaldemokratycznego kanclerza Gerharda Schrödera. Upór Berlina w sprawie uzgodnienia reguł pomocy i reformowania unii walutowej, zanim pomoc zostanie udzielona, sprowadził na Niemcy masę oskarżeń o nieeuropejską postawę, o odwracanie się od Unii, o rzekomy egoizm i brak solidarności, o narażanie na szwank stabilności czy wręcz samego istnienia strefy euro. Berlin nie ukrywał, że nie ma zamiaru dłużej żyć z Unią Europejską rozumianej przez wiele państw jako „unia transferowa” (transfer środków z Niemiec do innych państw). W europejskiej prasie ukazało się mnóstwo artykułów podważających europejską wiarę Niemiec⁵¹. Tym razem Niemcy nie uległy, ale wręcz przeszły do kontrataku i same zaczęły zadawać pytania o wiarygodność europejskiej retoryki tych państw Unii, które dopuściły do kryzysu euro lub sprzeciwiały się reformom niezbędnym dla uratowania wspólnej waluty. To właśnie ten kryzys, jak żadne inne wydarzenie w przeszłości, dał Niemcom szansę stania się normalnym krajem. Jak pisano, do kryzysu Niemcy przedkładały tożsamość europejską nad narodową, od tej pory zaś nie muszą „się wstydzić” swojej niemiec-

⁴⁹ T. Bielecki, „Europa dwóch prędkości”, *GW* z 9 czerwca 2010 r.; J. Saryusz-Wolski, „Ukształtowana przez Lizbonę Unia wychodzi z kryzysu obronną ręką” (rozmawiał A. Godlewski), *Polska – The Times* z 10–12 września 2010 r.

⁵⁰ R. Cohen, „Europa! Europa!”, *IHT* z 10 maja 2010 r.

⁵¹ P. Świeboda, „Czas odzyskać Niemcy”, *DGP* z 30 marca 2010 r.; R. Woś, „Niemcy wciąż chcą oszczędzać”, *DGP* z 18 sierpnia 2010 r.; G. Soros, „Euro do naprawy”, *GW* z 4–5 września 2010 r.; P. Buras, „Konięc niemieckiej Europy”, *GW* z 18–19 grudnia 2010 r.; „Why Germany is so successful”, pytano na łamach *The Economist* z 5–11 lutego 2011 r.

kości ani też płacić ceny za kolejne etapy rozwoju lub rozwiązywanie problemów integracji europejskiej. Berlin poczuł się tak swobodny w swej odzyskanej tożsamości, że kanclerz Angela Merkel, porzucając europejską poprawność, ogłosiła porażkę koncepcji „multikulti” i odejście Niemiec od tej polityki (w ślady Merkel kilka miesięcy później poszedł nowy, konserwatywny premier Wielkiej Brytanii David Cameron). Powodzenie Niemiec stało się z jednej strony przedmiotem dociekań („jak oni to robią?”), a z drugiej zaczęło wzbudzać obawy. Dominacja gospodarcza, prognozowano, musi w końcu przerodzić się także w dominację polityczną. Tak czy inaczej, Niemcy stały się wyzwaniem dla Europy. Pozostałe państwa zostały postawione wobec alternatywy: albo sprostają temu wyzwaniu i „pójdą do przodu” razem z Niemcami, albo staną w obliczu zepchnięcia ich do roli członków Unii drugiej kategorii, i to niezależnie od tego, czy są nowymi czy starymi członkami UE lub tego, czy należą do strefy euro, czy nie. Niemiecki model może się dla wielu okazać zbyt trudny⁵². **Od 2010 r. zaczęto mówić o nowym podziale Unii: na północ i południe, w miejsce dotychczasowego na wschód i zachód.** Kryterium podziału stała się zdolność do radzenia sobie z kryzysem, do reform, do samoograniczeń i ciężkiej pracy. W ten sposób do unijnej północy zaliczono oprócz Niemiec m.in. Polskę, Holandię, Wielką Brytanię (radikalne reformy i środki oszczędnościowe Camerona), Szwecję oraz Łotwę i Estonię.

Niemcy stawały się tym bardziej widoczne, im słabsza była UE, a rok 2010 okazał się dla Unii jako całości zwyczajnie niedobry, nie tylko ze względu na kryzys euro i poważne problemy gospodarcze większości państw członkowskich. W kontekście ogólnego kryzysu i zaniku nastrojów proeuropejskich traktat lizboński, z którym wiązano wiele nadziei na Unię sprawną, skuteczną i spójną, nie sprawdził się jako czarodziejska różdżka. Wejście traktatu w życie nie odmieniło znacząco funkcjonowania instytucji unijnych ani też nie wzmocniło Unii w stosunkach zewnętrznych. Pierwszy przewodniczący Rady Herman Van Rompuy okazał się zręcznym menedżerem i swoją sprawnością przyćmił przewodniczącego Komisji Manuela Barroso, lecz nie mogło to zrównoważyć: po pierwsze, wzrostu egoizmu i słabnięcia ducha europejskiego w dużych, starych krajach unijnych, i po drugie, zupełnie anemicznej wspólnej polityki zagranicznej, bezpieczeństwa i obrony. Jak trafnie zauważył Jacek Pawlicki, „szefowa unijnej dyplomacji Catherine Ashton nie rozczarowała, ale tylko dlatego, że nikt w Europie nie wiązał z nią wielkich nadziei”. Nie można oczywiście nie docenić organizacyjnego rozwoju Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych, choć obsada wielu unijnych placówek wzbudzała zdziwienie i miała więcej wspólnego z polityczną poprawnością niż kompetencją i realnymi wyzwaniami dla Unii w różnych miejscach na świecie. Więcej nadziei budziła zwiększona dzięki traktatowi aktywność Parlamentu Europejskiego, który, jak zauważano, może przejąć rolę

⁵² T. Buhrow, „We’ve waited too long for Europe”, *IHT* z 27 kwietnia 2010 r.; S. Castle, M. Saltmarsh, „Germany begins to shed its role as E.U. integrator”, *IHT* z 24 marca 2010 r.; N. Kulish, „Defying others, Germany finds economic success”, *IHT* z 13 sierpnia 2010 r.; „Zjednoczone Niemcy jak taran na czele Europy”, *Polska – The Times* z 1–3 października 2010 r.

asertywnego kustosza idei integracji europejskiej i obrońcy jej dorobku w obliczu narastającego partykularyzmu państw członkowskich⁵³.

Problem wielkich państw Unii wiązał się nie tyle z nową rolą Niemiec, które postanowiły stać się „normalnym państwem” (ich polityka pozostawała bardziej europejska od innych), ile ze słabością pozostałych. Wyraźnie osłabło przywództwo kapryśnego Nicolasa Sarkozy’ego i jego zdolność do reformowania Francji. Zwycięstwo konserwatystów i energicznego Davida Camerona przyniosło korzyści Wielkiej Brytanii, ale niczego nie wносиło do Unii (konserwatyści byli zawsze bardziej eurosceptyczni, a nowy premier koncentruje się na naprawie kraju). Włochy z coraz bardziej operetkowym Silvio Berlusconi na czele (zwłaszcza po **aferze „bunga-bunga”**)⁵⁴ całkowicie wypadły z europejskiej gry. „Wielcy przejęli władzę w europejskich instytucjach” – mówiono. W najmniejszym stopniu nie przyczyniło się to do wzrostu wielkości UE na scenie światowej. Przeciwnie, Unia zaczęła ponosić prestiżowe porażki i przestawano się z nią jako samodzielnym aktorem polityki międzynarodowej liczyć. Paradoksalnie najbardziej wyraziście zaznaczyło się to w stosunkach z USA. Entuzjazm, z jakim znaczna część europejskich przywódców powitała nadejście prezydenta Obamy po przygnębiającej prezydenturze G.W. Busha, zamienił się we frustrację w obliczu zdystansowanego chłodu, z jakim nowy prezydent podchodził do Europy. Jak przystało na pierwszego postatlantyckiego prezydenta USA, geopolitycznymi priorytetami Obamy były Chiny, Indie, Rosja czy hód. Jak pisano, od Europy potrzebował jedynie pomocy w Afganistanie. W swoim pierwszym raporcie na temat polityki zagranicznej UE (grudzień 2010 r.) lady Ashton stwierdziła, że „Europa nie jest już głównym strategicznym zagadnieniem polityki zagranicznej USA”. Reakcja Europy wobec tej nowej sytuacji była nie w pełni dojrzała. Zdaniem autorów raportu dla Europejskiej Rady Stosunków Zagranicznych, Jeremy’ego Shapiro i Nicka Whitneya, **stosunek Europy do USA „jest zasadniczo infantylny i fetyszystyczny”**, co miało oznaczać obsesyjną zależność od Stanów Zjednoczonych, nawet w sytuacjach krytyki polityki USA. Więcej szacunku u Baracka Obamy miały budzić twarde Chiny niż znajdująca się w rozsypce Europa⁵⁵. Majowe spotkanie UE–USA w Madrycie zostało odwołane przez Obamę, listopadowe zaś, w Lizbonie, przy okazji szczytu NATO, było krótkie i nic nieznaczące. Nic dziwnego, że niektórzy badacze czy analitycy ogłosili przejście Europy „na emeryturę” (Iwan Krastew) lub jej spadek do drugiej ligi (Pierre Hassner). „Upadł duch europejski, wygasły europejskie pasje”, twierdzi Hassner⁵⁶.

⁵³ J. Pawlicki, „Po co nam baronessa Ashton i jej dyplomacja”, *GW* z 29 września 2010 r.; T. Bielecki, „Ciężki rok traktatu z Lizbony”, *GW* z 4–5 grudnia 2010 r.; J. Pawlicki, „Lepiej już było, Unio?”, *GW* z 7 stycznia 2011 r.

⁵⁴ Całonocne zabawy w jednej z posiadłości 74-letniego Berlusconi’ego, z udziałem młodziutkich modelek i prostytutek.

⁵⁵ R. Cohen, „Gone, solid gone”, *IHT* z 8 marca 2010 r.; S. Castle, „European reports cites need to regain ground with U.S.”, *IHT* z 16 grudnia 2010 r.; „Europe and America: To Americans, Europe means NATO – but they should think of the European Union too”, *The Economist* z 27 listopada 2010 r.

⁵⁶ P. Hassner, „Europa spadła do II ligi” (rozmawiała L. Włodek-Bernat), *GW* z 18–19 września 2010 r.; I. Krastew, „Europa: mocarstwo na emeryturze” (rozmawiała D. Pszczółkowska), *GW* z 18–19 grudnia 2010 r.

Nawet pochodzący z Polski unijny komisarz ds. budżetu Janusz Lewandowski, sam doceniający historyczną wartość Unii, przyznaje, że „Wspólnota Europejska już nie jest sexy”⁵⁷. Tak ponuro eurosceptycznych nastrojów w łonie Unii nie było już dawno. Te nastroje pogorszą się wraz z zaczynającymi się sporami o unijny budżet – to będzie zapewne najtrudniejsza batalia o pieniądze w historii Wspólnoty⁵⁸. Przyczyną złych nastrojów jest też problem rozszerzenia. Większość unijnych stolic zdaje sobie sprawę, że zabrnęto w tej sferze zbyt daleko. **Pomyłką – mówi się o tym głośno – było przyjęcie Rumunii i Bułgarii**, a niepotrzebnie rozpoczęte negocjacje akcesyjne z Turcją znalazły się w impasie, który psuje sporo krwi. UE nie potrafi wychodzić z własnych błędów – nie pozwala jej na to będąca jej wytworem polityczna poprawność. Widać to aż nadto w jej podejściu do **Kosowa**, jego „niepodległości”, sztucznie i za duże unijne pieniądze podtrzymywanej, która przekształciła ten protektorat w strefę wolną dla mafii, zorganizowanej na wielką skalę prostytucji i przestępczości. Sprawa premiera Hashima Thaçiego, zamieszanego w proceder handlu organami, pobieranymi siłą od pojmanych Serbów, jest spektakularnym przykładem głupoty, z którą Unia nie potrafi sobie poradzić⁵⁹. Nic dziwnego, że w Unii nie ma przychylności dla polityki rozszerzenia, niezależnie od tego, że na horyzoncie nie widać poważnych kandydatów. Do tego dochodzi sprawa migracji, której coraz trudniej stawiać czoło, i dramatycznie niekorzystnych trendów demograficznych, dla których zwiększona imigracja nie jest rozwiązaniem. W tej sytuacji głosy nawołujące do szybkiej, pogłębionej refleksji nad spadkiem roli UE oraz energicznego, spójnego przetworzenia nadal ogromnego i wszechstronnego potencjału Europy na instrumenty jej międzynarodowego działania nie znajdują posłuchu⁶⁰. Czy to jest stan przejściowy, czy trwała tendencja – dowiemy się niebawem.

EUROPA WSCHODNIA – DWA SZAGI NAZAD

Sytuacja w Europie Wschodniej uległa pogorszeniu z punktu widzenia jej zbliżenia z Zachodem, Europą Zachodnią, UE i NATO. Chodzi oczywiście o zmiany, jakie nastąpiły w polityce wewnętrznej i zagranicznej głównych krajów regionu, Rosji, Ukrainy i Białorusi. Oddziaływania zewnętrzne, wobec Rosji ze strony zachodnich mocarstw, wobec Białorusi i Ukrainy ze strony UE czy też jej poszczególnych państw członkowskich, także za pośrednictwem Partnerstwa Wschodniego, nie przynoszą oczekiwanych efektów. Czynniki endogeniczne zdecydowanie przeważają nad zewnętrznym *wishful thinking* w stosunku do tego regionu. Mówienie, że jest to część Europy, wygląda na zaklinanie rzeczywistości, przynajmniej jak dotychczas.

⁵⁷ Wywiad pod takim tytułem przeprowadzili G. Osiecki i P. Rożyński, *DGP* z 20–22 sierpnia 2010 r.

⁵⁸ M. Dowgielewicz, „Ambitny budżet dla Unii”, *GW* z 20 sierpnia 2010 r.; M. Emilewicz, „Spór o budżet to spór o Unię”, *Rz* z 29 listopada 2010 r.

⁵⁹ D. Charter, „Premier z krwią na rękach. Dosłownie, bez metafory”, *Polska – The Times* z 17–19 grudnia 2010 r.

⁶⁰ G. Merrit, „Europe’s last chance”, *Europe’s World*, jesień 2010.

Pomimo głośno zapowiadanego przez prezydenta Miedwiediewa programu modernizacji w Rosji nie widać większych zmian. Owszem, gospodarka rosyjska zaczęła odrabiać straty poniesione w wyniku kryzysu 2008, ale w sferze politycznej nic nie drgnęło, czego ilustracją był drugi, nieodpowiadający w najmniejszym stopniu międzynarodowym regułom *fair trial* proces Michaiła Chodorkowskiego. Nerozwiazane problemy Kaukazu Północnego odzywają się w postaci krwawych zamachów terrorystycznych, np. na moskiewskim lotnisku Domodiedowo w styczniu 2011 r. Nadużycie siły przez Moskwę w latach 90., poniesione ofiary, niezdolność władz rosyjskich do kompromisu będą stale dawały o sobie znać w ten sposób⁶¹. W 2011 r. **wyczerpał się potencjał „resetu” w stosunkach Rosja–USA**. Kolejna wersja START została ratyfikowana przez obie strony. W relacjach Moskwa–Waszyngton nie ma wielkich tematów, które dawałyby Rosjanom poczucie potęgi czy prestiżu. Amerykanie mają na głowie inne problemy. Dlatego Moskwa więcej wagi przywiązuje do stosunków z Unią Europejską, choć chce to robić według własnych zasad, to znaczy za pośrednictwem głównych unijnych mocarstw i nie zgadzając się na to, co jest częścią tożsamości międzynarodowej UE, czyli poprawę standardów w sferze praw człowieka i demokracji. Otwarcie na Polskę – głównego „hamulcowego” w oczach Moskwy – zapowiadało się obiecująco, ale kontrowersje związane z wyjaśnianiem przyczyn katastrofy smoleńskiej (polskie reakcje na rosyjskie ustalenia w sprawie przyczyn katastrofy) sprawiły, że rosyjsko-polskie odprężenie, tak potrzebne Moskwie w stosunkach z Zachodem, ugrzęzło w piasku. Premier Putin lansował bez przekonania ideę wspólnego z UE obszaru gospodarczego, co znalazło echo w podobnym hasle francuskiego prezydenta Sarkozy’ego o wspólnym obszarze gospodarczym i bezpieczeństwa. Rosjanie chcieliby zawrzeć nowy traktat z UE, który by w jakiś sposób uprzywilejowywał Rosję, ale wobec fiaska rozmów na temat nowego PCA czy akceptacji Karty Energetycznej Unia miała związane ręce. Moskwa nadal nie rozumiała logiki działania Unii ani też zwłaszcza jej aksjologicznej istoty. Ponadto w szczegółach ewentualnych porozumień strony są tak od siebie odległe, że żadna z tych idei nie została rozwinięta. Wszyscy wiedzieli, że ta niekonsekwentna próba „nowego otwarcia” ze strony Moskwy jest rezultatem presji wywieranej na Rosję przez Azję, zwłaszcza Chiny, a także imperatywem modernizacji, której nie da się przeprowadzić bez pomocy Zachodu⁶². Z tego Rosjanie już zdawali sobie sprawę, ale nie potrafili wyciągnąć poprawnych wniosków, przez co tkwili w przestarzałych wizjach rzeczywistości międzynarodowej i koncepcjach układania stosunków z Zachodem, które nie miały żadnych szans spełnienia. „Rosja kusiła inwestorów, ale nie wyrzekła się imperialistycznej historii”, pisała Lilia Szewcowa. Z kolei jeden z czołowych moskiewskich spin doktorów Gleb Pawłowski wskazywał, że kłopoty Moskwy z Europą biorą się stąd, iż Rosja nie ma za sobą doświad-

⁶¹ M. Potocki, „Jak działa dżihad w Rosji, czyli islamska sieć na wojnie z niewiernymi”, *DGP* z 31 marca 2010 r.

⁶² H. Adomeit, „Nie od razu Moskwę zbudowano” (rozmowę przeprowadził P. Buras), *GW* z 4–5 września 2010 r.

czenia europejskiego Oświecenia⁶³. Problem w tym, że historycznych epok nie da się powtórzyć. Wydawałoby się, że w tej sytuacji Rosji bardziej potrzebny jest rosyjski Atatürk. Takie postacie pojawiają się w różnych częściach świata, ale Rosja do tej pory nie miała szczęścia⁶⁴. Unia ze swej strony również nie potrafiła sformułować dobrego pomysłu na stosunki z Rosją, a jedyne państwa UE, które mogłyby w tej sprawie podjąć wspólnie wiarygodną inicjatywę, czyli Niemcy i Polska, nie paliły się do takiego przedsięwzięcia⁶⁵. Wprawdzie kanclerz Merkel sprytnie zaproponowała Moskwie, aby potwierdziła „dobrą wiarę” swego „nowego” podejścia do Europy przez zmianę jej stosunku do problemu Nadmniestrza, ale nie spotkało się to z żadnym odzewem.

Niezbyt czytelny dla obserwatorów i analityków stał się **rozwoj sytuacji na Ukrainie** po objęciu urzędu prezydenta przez Wiktora Janukowycza. Na pierwszy rzut oka zwycięstwo tego popieranego przez Rosję polityka o niezbyt chwalebnej przeszłości zapowiadało powrót Ukrainy pod skrzydła Moskwy. Pierwsze miesiące urzędowania zdawały się to potwierdzać, lecz kolejne nakazywały większą ostrożność w ferowaniu tego rodzaju opinii⁶⁶. Ekipa Janukowycza okazała się o wiele bardziej skuteczna od poprzedników w zarządzaniu gospodarką i udało się jej stosunkowo szybko wyciągnąć Ukrainę z gospodarczej zapaści (przypomnijmy, że skutek kryzysu 2008 r. ukraiński PKB spadł o ok. 15%). Stało się to możliwe m.in. dzięki uregulowaniu sporów o dostawy i tranzyt gazu z Rosji. Kijów uzyskał w tej dziedzinie korzystne warunki, w zamian za zgodę na znaczne przedłużenie prawa pobytu Floty Czarnomorskiej Rosji w porcie sewastopolskim. Niektórzy uznali to za przejaw wasalizacji Ukrainy. To błędna ocena. Po pierwsze, Rosjanie i tak nie daliby się wyrzucić z Sewastopola do 2017 r., a po drugie, samo istnienie tej bazy nie przesądza o suwerenności Ukrainy. Baza USA w Guantanamo na Kubie nie przeszkodziła przejściu władzy i rządowi komunistycznego Fidela Castro. Porozumienie pozwoliło złapać oddech ukraińskiej gospodarce. Dobry klimat w stosunkach między Kijowem a Moskwą nie przeszkadzał Ukrainie Janukowycza twardo bronić swych interesów. W sferze polityki zagranicznej nowy prezydent nie uczynił niczego, co by wyglądało na spełnienie życzeń Moskwy. Stosował raczej **taktykę Zagłoby**, według słów Andrzeja Talagi⁶⁷. Rezygnacja z dążeń do członkostwa w NATO miała symboliczny charakter, ponieważ i tak znakomita większość Ukraińców była temu

⁶³ L. Szewcowa, „Defilada na użytek Zachodu”, *DGP* z 7–9 maja 2010 r.; G. Pawłowski, „Rosja potrzebuje oświecenia”, *DGP* z 10 maja 2010 r.; M. Wojciechowski, „Przez Polskę do Europy”, *GW* z 12 maja 2010 r.; S. Erlanger, K. Bennhold, „Sarkozy to propose new bond with Russia”, *IHT* z 1 października 2010 r.; P. Jendroszczyk, „Rosja chce integracji z Unią”, *Rz* z 26 listopada

⁶⁴ R. Kuźniar, „Europejski problem Rosji”, *Nowa Europa Wschodnia*, listopad–grudzień 2010; P. Skwieciński, „Rozgrywka z Polską – to nie żadna polityka”, *Rz* z 3 września 2010 r. Oba teksty są reakcją na plan S. Karaganowa dotyczący ustanowienia specjalnych stosunków UE–Rosja, na warunkach rosyjskich i z całkowitym pominięciem innych państw Europy Wschodniej. Na temat modernizacyjnych problemów Rosji zob. *Nowa Europa Wschodnia*, wrzesień–październik 2010 (zwł. teksty L. Szewcovej i S. Dębskiego).

⁶⁵ M. Wojciechowski, „Berlin, Warszawa i Wschód”, *GW* z 12–13 czerwca 2010 r.

⁶⁶ N.N. Petro, „Ukraine can hale them and us”, *IHT* z 4 maja 2010 r.; S. Tessier-Stall, K. Zarembo, „Ukraine is not yet ‘lost’”, *IHT* z 20 maja 2010 r.

⁶⁷ Potakuj, obiecuj to, czego i tak nie możesz dać, a po cichu rób swoje, a jeśli coś oddawać, to coś, co i tak jest stracone. A. Talaga, „Janukowycz – ukraiński pan Zagłoba”, *DGP* z 11–13 czerwca 2010 r.

przeciwna. Janukowycz dostosował pod tym względem politykę do woli mieszkańców. Praktyczna współpraca z NATO nie została uszczuplona. Odrębnym problemem jest sprawa ewentualnego członkostwa w UE. Janukowycz uważa to za strategiczny cel Ukrainy. Intencje potwierdzi zdolność Kijowa do zawarcia trzech porozumień: o stowarzyszeniu, o wolnym handlu i o ruchu bezwizowym. Interesy gospodarcze Ukrainy mogą na to nie pozwolić, a spełnienie różnych wymogów związanych z tymi umowami – może okazać się zbyt kosztowne. Prawdziwą przeszkodą w zbliżeniu Ukrainy z UE może być jednak dostrzegany od objęcia władzy przez Janukowycza regres pod względem standardów demokratycznych, co dotyczy swobody działania opozycji oraz wolności mediów. Innym czynnikiem obciążającym Ukrainę pod tym względem jest nadal bardzo duża korupcja oraz brak swobody i bezpieczeństwa dla działalności przedsiębiorstw zagranicznych. Bezwzględne rozliczanie obozu Tymoszenko za korupcję ma swoje uzasadnienie w realnych przypadkach, ale jeśli dotyczy tylko jednej strony sceny politycznej, może być słusznie odebrane jako odchodzenie od standardów demokracji. W polityce zagranicznej doszło do powrotu tak zwanej wielowektorowości; być może zresztą dopiero teraz jest ona prawdziwa. Janukowycz odrzucił jako fałszywy wybór między Rosją a UE, zwłaszcza w wydaniu zero-jedynkowym. Próbuje godzić obie opcje i nie nawiązywać żadnych strategicznych partnerstw czy specjalnych stosunków. Kryterium doboru jest ściśle praktyczne – korzyści dla Ukrainy w danym momencie. Nowy prezydent stawia się na kontakty z większymi państwami Europy oraz z *emerging economies*. **Porzucona została Polska jako uprzywilejowany partner** – quasi-sojusznik i adwokat Ukrainy. W Kijowie zwyciężył pogląd, że wcześniejsze poparcie Warszawy miało antyrosyjski podtekst i było potrzebne bardziej jej niż Ukraincom⁶⁸. Nie przeszkadza to utrzymywać normalnych stosunków z Polską, czego przejawem była owocna, choć parę razy przekładana wizyta prezydenta Janukowycza nad Wisłą na początku lutego 2011 r. (Warszawa była dopiero 35. stolicą, którą odwiedził nowy prezydent). W sensie bezpieczeństwa Ukraina stała się buforem między Rosją a jej zachodnimi sąsiadami, lecz sama nie odczuwała znikąd zagrożenia⁶⁹. Nie jest jasne, czy będzie to bufor dryfujący, czy jednak powoli, stale zmierzający do europejskiego portu. Wiele będzie zależeć od dalszego rozwoju kultury politycznej Ukrainy oraz zdolności do ustanowienia prymatu interesów państwa nad interesami oligarchów, a pod tym względem ewolucja sytuacji nie daje podstaw do optymizmu.

Zdecydowany odwrót od przyszłości nastąpił na **Białorusi**. Przez większą część 2010 r. między Białorusią a UE trwała gra, która miała polegać na udzieleniu pomocy w zamian za bodaj ograniczoną liberalizację, czyli przede wszystkim zwiększone możliwości działania demokratycznej opozycji. Prezydent Łukaszenka długo zwodził Brukselę i unijnych polityków w celu wzmocnienia swojej przetargowej pozycji wobec Moskwy. Gdy wreszcie Rosja ustąpiła przed jego żądaniami (chodziło głównie o cenę za gaz i inne sprawy związane z energetyką), radykalnie zmienił taktykę.

⁶⁸ A. Hetmańczuk, „Polskie łęki Ukrainy”, *GW* z 31 maja 2010 r.; B. Berdychowska, H. Wujec, „Idee spuszczone ze smyczy”, *GW* z 25 sierpnia 2010 r.

⁶⁹ R. Zasuń, „Ukraina wybrała mniejsze zło”, *GW* z 4 maja 2010 r.; B. Sienkiewicz, „Ukraina jednak buforowa”, *GW* z 3 września 2010 r.

„Wygrał” (być może wygrał naprawdę, ale w sposób niezgodny z demokratycznymi procedurami) w grudniu przyspieszone wybory prezydenckie, po czym z nadzwyczajną i nieoczekiwaną brutalnością rozprawił się z opozycją: masowe pobicia demonstrantów, areszt i pobicie kilku kandydatów na prezydenta. Stosunki polityczne z Zachodem zostały zamrożone. Przywrócono sankcje zakazujące wjazdu na teren Unii przedstawicielom reżimu. Pod względem politycznym Białoruś została cofnięta do okresu z końca Związku Sowieckiego. Nieobywatelskie społeczeństwo tego kraju („milcząca większość”) pozostało całkowicie pasywne⁷⁰.

⁷⁰ M. Wojciechowski, „Białoruś pod butem reżimu”, *GW* z 21 grudnia 2010 r.; A. Poczobut, „Reżim Łukaszenki idzie na całość”, *GW* z 7 stycznia 2011 r.